

Ostrołęka pełna wspomnień

Zeszyt 7



TOWARZYSTWO
PRZYJACIÓŁ
OSTROŁĘKI

Ostrołęka pełna wspomnień

Ostrołęka pełna wspomnień

Zeszyt 7



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ OSTROŁĘKI

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęka, 2019

Redakcja
Jadwiga Nowicka

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne
Tomasz Kalinowski

Fotografie ze zbiorów
Mieczysława Bubrzyckiego, Aldony Rusinek, Lucyny Wiśniewskiej-Rutkowskiej

Wydawca składa serdeczne podziękowanie Drukarni J. J. Maciejewscy
w Przasnyszu za pomoc w wydaniu drukiem tej publikacji

182. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

ISBN 978-83-64200-44-1

Nakład: 300 egz.

Druk
Drukarnia J. J. Maciejewscy, Przasnysz

SPIS TREŚCI

Od Wydawcy	7
<i>Czesław Parzych</i> Pierwszy na ziemiach polskich Bal Powiatowy Wsi Polskiej w Ostrołęce	11
<i>Czesław Parzych</i> Ostrołęccy wspaniali (Józef Sala, jego córka Irena i Armia Krajowa)	13
<i>Leopold Szwedowski</i> Cichy front Leona Brodowskiego	17
<i>Lucyna Wiśniewska-Rutkowska</i> Dziewczyna z Ostrołęki	22
<i>Aldona Rusinek</i> Zmienił moje życie	48
<i>Mieczysław Bubrzycki</i> Moje życie z „Tygodnikiem”	68
<i>Czesław Parzych</i> Ostrołęczanin w Nowym Jorku	86

OD WYDAWCY

Zeszyt 7. *Ostrołęka pełna wspomnień* rozpoczynamy tekstem o przedwojennym balu karnawałowym. I to jakim. Otóż był to bal wiejskich uczestników z całego ostrołęckiego powiatu. Bal, który odbył się w Ostrołęce 19 lutego 1928 roku i był pierwszym takim balem w przedwojennej Polsce.

A później przyszedł ponury czas okupacji niemieckiej, czas cichej walki z okupantem i patriotycznego oddania ojczyźnie. O ostrołęczanach tamtych trudnych dni swoje serdeczne wspomnienia snują:

– Leopold Szwedowski o Leonie Brodowskim, człowieku wielkiego serca dla sprawy ojczyzny i dla bliźnich – potrzebujących, który za wykazane męstwo w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku odznaczony został Krzyżem Walecznych. Jako mistrz młynarski, będąc administratorem młyna w Ostrołęce, w czasie okupacji swe stanowisko wykorzystywał do niesienia szeroko rozwiniętej pomocy materialnej i usługowej dla potrzebujących Polaków i dla Armii Krajowej, której był członkiem. Za swą ofiarność jeszcze w czasie wojny otrzymał Srebrny Krzyż z Mieczami, a po wojnie Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Czesław Parzych zaś wspomina ułana 5. Pułku Ułanów Zaslawskich Józefa Salę i jego córkę Irenę Wituską, która w szczególny sposób uniknęła śmierci, skazana za patriotyczną działalność.

Tacy ostrołęczanie, jak wyżej wspomniani, szczególnie godni są szacunku i naszej pamięci.

Z czasów Ostrołęki powojennej piękne wspomnienia z lat 60. snuje o swym ojcu, Narwi i Łęczysku, młoda wówczas ostrołęczanka Lucyna Wiśniewska-Rutkowska. W sposób autentyczny przedstawia starą dzielnicę, gdzie mieszkała z rodziną, której w tamtym czasie niejako symbolem – znakiem rozpoznawczym był „wielorodzinny drewniany dom a obok stodoła, na podwórku młócono ziarno wykorzystując kierat poruszany przez konia”. A był to obszerny parterowy dom – gospodarstwo rodziny Późniewskich, gdzie dziś stoi blok mieszkalny.

Redaktorzy „Tygodnika Ostrołęckiego” Aldona Rusinek i Mieczysław Bubrzycki we wspomnieniach przedstawili w ciekawy i piękny sposób swoją dziennikarską drogę. Przy okazji niezwykle ujmująco przypomnieli tak wiele wspaniałych osób, które spotkali na dziennikarskich ścieżkach. Osób i nam bardzo bliskich.

Czesław Parzych wspomina swój pobyt jako „wakacjusz” w Nowym Jorku w latach 1986–1987.

Wspomnienia pomieszczone w tym kolejnym, siódmym już, Zeszycie niech poniosą Was, drodzy Czytelnicy, na falach przemijania w czas ukazanych tu wydarzeń. Niech rozbudzą refleksję i wzruszą, przypomną tamte wspominane dni.

Jadwiga Nowicka
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

*Tu gdzie rycerze Księcia Siemowita
strzegli Narwi błękitnych wód,
tu pierwsze znaki tożsamości naszej
– stąd nasz Gród.*

Czesław Parzych

PIERWSZY NA ZIEMIACH POLSKICH BAL POWIATOWY WSI POLSKIEJ W OSTROŁĘCE



2 października 1927 roku, po intensywnych staraniach i zabiegach ostrołęckich środowisk, związanych z oświatą i rolnictwem, w murach Szkoły Powszechnej im. Stanisława Jachowicza przy ulicy Kościuszki nr 18 w Ostrołęce otwarty został uroczyście Uniwersytet Ludowy Rolny. Jego dyrektorem został Tadeusz Gałęcki z Ław – prezes sekcji powiatowej Okręgowego Towarzystwa Rolniczego (OTR) w Ostrołęce. Obowiązki sekretarza objęła i piastowała Janina Kossowska z Ostrołęki, zaś obowiązki kierownika działu społecznego i wychowawczo-obyczajowego uniwersytetu od chwili jego powstania powierzono Ludwice Wojciechowskiej (z domu Puzyna) z Wojciechowic – żonie Adama Wojciechowskiego – juniora. W czasie pierwszej wojny światowej była ona razem z rodziną ewakuowana do Rosji. Tam – w Żurawicach na Białorusi – prowadziła razem z mężem polską szkołę. Po powrocie do kraju oboje pracowali w szkolnictwie. Adam współorganizował właśnie Uniwersytet Ludowy Rolny, a Ludwika podjęła w nim pracę. To właśnie ona przygotowywała uczącą się tam młodzież wiejską do kulturalnego życia, pochodzącą z całego powiatu ostrołęckiego: zarówno z części południowej jak i z Kurpiowszczyzny. Z jej inicjatywy, zachęty i pod jej opieką słuchacze uniwersytetu – wzorując się na balach akademickich – w okresie karnawału, 19 lutego 1928 roku, urządzili dla swych rodzin, kadry i zaproszonych gości „bal wiejski”. Zgromadziło się 272 osoby, a zabawa trwała od godziny siedemnastej do piątej rano dnia następnego i udała się znakomicie.

Ze względu na skład uczestników, bal ten siłą rzeczy stał się zabawą karnawałową elity drobnych gospodarzy wiejskich całego

powiatu ostrołęckiego. Uczestnicy tego balu wyszli po raz pierwszy z zabawą z opłotków swych wiosek, poza ich granice i reprezentowali cały powiat!

A charakter tego „balu wiejskiego”, jego barwa i skład uczestników, uczyniły go pierwszym na ziemiach ojczystych powiatowym balem wsi polskiej!

To była jej pierwsza reprezentacja powiatowa... w zabawie!

Bal ten wykazał ogromne zaangażowanie całego zespołu jak i niespożyte zdolności wychowawcze i organizacyjne pani Ludwiki, jej wpływ na wychowanie kulturalne i towarzyskie słuchaczy uniwersytetu. Ofiarna praca z młodzieżą dała piękne owoce. A wychowankowie cenili to bardzo i byli jej niezmiernie wdzięczni.

Zachęceni sukcesem balu do kulturalnego działania, zagrali 13 maja 1928 roku dla ostrołęczan i zaproszonych osób trzyaktową komedię Witolda Kirkora *Potrójna narzeczona*, oczywiście w reżyserii pani Ludwiki Wojciechowskiej. Młodzi aktorzy wykazali w grze wielkie uzdolnienia artystyczne, a publiczność – 230 osób – bawiła się wybornie.

Czesław Parzych

Czesław Parzych – poeta i prozaik. Autor kilku tomików wierszy i opowiadań, laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich i ogólnopolskiego konkursu na wspomnienia. Jego twórczość drukowana była w prasie regionalnej i krajowej oraz w wielu antologiach i almanachach poetyckich. Jest też publicystą i dokumentalistą. W 1984 roku zapoczątkował prowadzenie Kroniki Miasta Ostrołęki i prowadził ją przez 34 lata, do końca 2018 roku.

OSTROŁĘCCY WSPANIALI (JÓZEF SALA, JEGO CÓRKA IRENA I ARMIA KRAJOWA)



Józef Sala urodził się 12 września 1898 roku w ziemi krakowskiej. Od 1914 roku był ułanem 1 plutonu 2 szwadronu 2. Pułku Ułanów II Brygady w Legionach Polskich. W czerwcu 1915 roku część II Brygady, dowodzona przez pułkownika Zielińskiego, zajmowała pozycje nad Prutem w rejonie Czerniowców. W toczonych tam walkach wślawił się szczególnie 2 szwadron 2. Pułku Ułanów, który 13 czerwca 1915 roku pod dowództwem Zbigniewa Dunin-Wąsowicza zaatakował pozycje nieprzyjacielskie pod Rokitną. Uczynił to z brawurą, jakiej chyba nie było w jeździe polskiej od czasów słynnej szarży pod Somosierrą.

Włodzimierz T. Kowalski w książce *Rok 1918* tak ją opisuje: „Szwadron przejechał przez trzy służące do celów flankowych i częściowo obsadzone rowy strzeleckie i zaatakował potem z bezprzykładną odwagą i pogardą śmierci około dwukilometrowe pozycje główne nieprzyjaciela, przejeżdżając je z flanki wśród najsilniejszego ognia piechoty, karabinów maszynowych i artylerii”.

Z bohaterskiej tej szarży powróciło zaledwie kilku ułanów, reszta wraz z dowódcą pozostała na poboju. Brał w niej udział również ułan Józef Sala, który został ciężko ranny, a za wykazane w walce bohaterstwo otrzymał Order *Virtuti Militari*.

Od 16 lutego 1917 roku Sala walczył w szeregach II Korpusu Wschodniego, pod dowództwem pułkownika Józefa Hallera, w składzie 2. Pułku Ułanów. 11 maja 1918 roku wraz z pułkiem brał udział w bitwie pod Kaniowem. A w listopadzie 1918 roku jego szwadron kawalerii polskiej, zorganizowany jeszcze przez Niemców tzw. Wehrmacht, znajdował się w Mińsku Mazowieckim.

Jego oficerowie, podoficerowie, jak i ułani – w tym składzie Józef Sala – którzy pochodzili z 2. Pułku Ułanów II Brygady Legionów, zostali wcieleni do organizującego się 5. Pułku Ułanów.

I w ten sposób już starszy wachmistrz Józef Sala znalazł się w szeregach tego – 5. Pułku Ułanów. Z pułkiem tym przeszedł całą kampanię 1919 i 1920 roku, walcząc dzielnie o wolną i niepodległą Polskę. Odznaczony został za to Krzyżem Walecznych.

W szeregach 5. Pułku Ułanów Zasławskich, który 26 maja 1921 roku zakwaterował się w Ostrołęce w wojciechowskich koszarach, Józef Sala pełnił służbę, pracując w kancelarii pułku.

W kampanii wrześniowej udziału już nie brał. W okresie okupacji hitlerowskiej był żołnierzem Armii Krajowej. W 1940 roku wraz z rodziną Józef Sala wysiedlony został przez Gestapo ostrołęckie w okolice Krakowa. Tam, w 1943 roku, został aresztowany przez Gestapo z powodu jego córki Krystyny Wituskiej, aresztowanej za konspiracyjną działalność w Warszawie. Po wielu miesiącach dochodzeń Józef Sala został zwolniony z więzienia.

Po wojnie powrócił z rodziną do Ostrołęki i pracował jako urzędnik w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (w tym czasie pierwszym przewodniczącym PMRN był Tadeusz Kruszewski), stąd odszedł na emeryturę.

Wspomniana córka Irena Wituska ps. „Krystyna”, urodzona w 1920 roku, była uczennicą ostrołęckiego gimnazjum (ukończyła przed wojną cztery klasy) i harcerką. Od listopada 1939 roku wchodziła w skład grupy konspiracyjnej rotmistrza Kazimierza Draczyńskiego, następnie Związku Walki Zbrojnej. 12 grudnia 1940 roku (gdy wysiedlano ostrołęcką inteligencję) razem z rodzicami wysiedlona została z Wojciechowic przez hitlerowskiego okupanta do Generalnej Guberni. Pisała listy do koleżanek z różnych miejscowości, z którymi chodziła do gimnazjum, a których adresy posiadała. Informowała je, że jest w trudnej sytuacji. Koleżanki sprowadziły ją do Warszawy, gdzie szybko dała się poznać jako zdolna i zaangażowana konspiratorka. Tam została zaangażowana do pracy

konspiracyjnej w wywiadzie II Oddziału Komendy Głównej Armii Krajowej. Wyszła za mąż za biuralistę Janusza Wituskiego.

W końcu pierwszej dekady grudnia 1943 roku, wraz z innymi pracownikami Biura Studiów Oddziału II Komendy Głównej AK, została zdradzona przez super agentów warszawskiego Gestapo: Blankę Kaczorowską i jej męża Ludwika Kalksteina. Cała grupa została aresztowana przez szefa Gestapo Martena. Wraz z Ireną aresztowano m.in. jej męża Janusza Wituskiego, Halinę Skierską, Marię Dziubakową, Marię Ikę Dunikowską, Natalię Rykowską, Eryka i Jadwigę Scharfenbergów. Pięciu konspiratorów rozstrzelano, pozostałych zesłano do obozów koncentracyjnych. Irena Wituska „Krystyna” z domu Salówna była w tym czasie w wysoko zaawansowanej ciąży. Z Pawiaka, gdzie była „przesłuchiwana”, przewieziona została do szpitala, gdyż zbliżał się poród. W tym czasie wybuchło powstanie warszawskie, co zapewne uratowało jej życie.

Żaden chyba z agentów Gestapo nie zadał Armii Krajowej tak bolesnych ciosów, jak były oficer KG AK Ludwik Kalkstein i jego żona Blanka Kaczorowska – pracownica Biura Studiów KG AK oraz były oficer wywiadu AK Eugeniusz Świerczewski – szwagier Kalksteina, który 30 czerwca 1943 roku wydał Gestapo komendanta głównego AK, gen. dywizji Stefana Roweckiego „Grota”. Ponadto L. Kalkstein, 8 grudnia 1943 roku, wydał Gestapo szefa wywiadu i kontrwywiadu KG AK pułkownika dyplomowanego „Dzięcioła” – Mariana Drabika i jego rodzinę.

Specjalnie powołany warszawski oddział „Kedywu” pod dowództwem „Poprawy” śledził dobraną trójkę zdrajców w celu wykonania wyroków śmierci. Mieli oni jednak świadomość utraty życia i dobrze się kryli. Raz oddział „Kedywu” znalazł sposobność, by na Blance wykonać wyrok, lecz odstąpił od niego, gdyż w tym czasie była ona w zaawansowanej ciąży, a akowski wymiar sprawiedliwości stosował zwyczaj nie likwidowania skazanych na śmierć kobiet, będących w odmiennym stanie. Po tym spotkaniu oboje z mężem zniknęli z Warszawy, ukryci przez Gestapo.

Śledztwo kontrwywiadu AK wykazało, że zdekonspirowany agent Gestapo Eugeniusz Świerczewski działał w strukturach Państwa Podziemnego na polecenie Untersturmführera Ericha Martena. Należał do siatki kierowanej przez Ludwika Kalksteina, a przekazane przez niego informacje były na tyle szokujące, że kierownictwo polskiego podziemia nakazało jak najszybszą jego likwidację.

Specjalny warszawski oddział „Kedywu” 993/W, pod dowództwem por. „Poprawy” i zastępcy Bernarda Zakrzewskiego „Oskara” – Stefana Rysia ps. „Józef”, dopadł Eugeniusza Świerczewskiego „Gensa” 17 maja 1944 roku (inne źródła mówią o 20 czerwca 1944 r.). Ściągnięto go do warsztatu stolarskiego w suterenie domu przy ul. Krochmalnej 74, gdzie po przesłuchaniu, w czasie którego przyznał się do popełnionych zrad, na mocy wyroku wojskowego sądu, został powieszony. Zaś Blanka Kaczorowska i Ludwik Kalkstein sądzeni byli po wojnie.

Tak losy ostrołęckiej harcerki Ireny Salówny „Krystyny” wplecione zostały w historię okupacyjną Polski.

Po wojnie zamieszkała ze swą rodziną w Aninie. Do Ostrołęki przyjeżdżała do rodziców i na spotkania związane z rocznicowym świętem 5. Pułku Ułanów Zasławskich. Obiecała spisać swe wspomnienia Tadeuszowi Kruszewskiemu. Nie zdążyła – zmarła 14 listopada 1983 roku. Spoczywa na ostrołęckim cmentarzu parafialnym w rodzinnym grobie Salów, razem z ojcem Józefem Salą (zm. 1973 r.) i matką Michaliną Salą (zm. 1992 r.).

Druga córka Józefa i Michaliny Salów wyszła za mąż za Józefa Klimuta – aktywnego działacza sportowego.

Czesław Parzych

Oprac. na podstawie informacji Tadeusza Kruszewskiego, Michaliny Salowej, Henryka Ciszewskiego oraz artykułów prasowych.

CICHY FRONT LEONA BRODOWSKIEGO



Czas okupacji hitlerowskiej był dla Polski okresem, w którym najeźdźca niszczył podstawy bytu narodowego. I dlatego właśnie był okresem próby postaw obywatelskich i moralnych. Z próby tej naród polski wyszedł zwycięsko. Nie tylko dzięki tym, których imiona istnieją na kartach historii, lecz i tym cichym, nieznanym bohaterom, którzy w ten tragiczny czas objawiali patriotyzm, poczucie więzi narodowej i więzi ludzkiej. Dzieje Ostrołęki lat 1939–1944 dostarczają wiele przykładów takiej postawy. Jednym z cichych bohaterów tamtych lat był ostrołęczanin Leon Brodowski. Starsze pokolenia ostrołęczan wymawia jego imię z szacunkiem, wspomina o nim w swojej monografii *Ostrołęka. Dzieje miasta* Zofia Niedziałkowska, poświadczała jego zasługi Helena Rudnicka, żołnierz AK, członek podziemnego, antyhitlerowskiego ruchu oporu. Zapytana o Leona Brodowskiego z tamtych lat pani Helena mówiła:

– To był dobry człowiek, dużo dobrego robił dla ludzi w tamtych czasach. Pomagał komu mógł, ratował przed głodem. Na takim stanowisku można się było samemu wzbogacić. Ale on, nie...!

Z rozmowy z panem Leonem dowiedziałem się, że jako mistrz młynarski został z polecenia władz okupacyjnym administratorem ostrołęckiego młyna, w którym rozpoczął pracę jeszcze przed wojną, w 1932 roku. To uprzywilejowane, choć pod nadzorem, stanowisko pozwoliło mu na rozwinięcie tajnej działalności charytatywnej i patriotycznej.

– Ciężko było ludziom – wspomina pan Leon – ciężko. Nowosadowie, Gawrońska, Komorowska z trojgiem dzieci, Celina

Jeruzalska... Widzi pan, jej mąż był aresztowany, wywieziony do Dachau, a później, nie pamiętam już, ale zdaje się do Oświęcimia, gdzie zginął. Ona została z małymi dziećmi, bez środków do życia. Trzeba było pomóc chociaż tą mąką z młyna...

Nie dodaje, że nie tylko „tą mąką”. Z ust pani Brodowskiej dowiaduje się, że M. Komorowskiej kupił piecyk, innemu, którego nazwiska już nie pamięta, krowę. A takich aktów pomocy było sporo. Słuchałem i nie dziwiłem się opiniom z tamtych lat, gdy mówiono, że Brodowskiemu to po wojnie pomnik się wystawi, bo jest ojcem dla ludzi. Tak przemawiało w owych czasach uczucie wdzięczności.

– Pomoc przychodziła często niespodziewanie – informuje pani L. To było na kilka dni przed Wielką Nocą. Głowiliśmy się z mamą, jak tu zdobyć trochę mąki na ciasto. Zdawało się, że na-daremnie. A jednak ciasto było. Dzięki Brodowskiemu. Przyniósł kilka kilogramów. Mamie mojej powiedział, że to ja kupiłam. Ale tak nie było. Skąd wiedział, że mąki nie mamy i czy wiedział, tego nie wiem. Chciał chyba zrobić prezent, jak innym. Z takich prezentów korzystały rodziny, których członkowie działali w konspiracji. Zamyśliła się na chwilę pani L., a potem dodała:

– Pewnego razu omal nie dostał szpicrutą od gestapowca. Wiem, bo mi o tym mówił Niemiec w biurze, w którym pracowałam. Za co? Za pomoc oczywiście. Było to w czasie pierwszego wysiedlania Polaków z Ostrołęki, w grudniu 1940 roku. Rozdawał wysiedlanym swoje pieniądze.

Ciekaw byłem, czy pan Leon przypomni sobie ten dzień, tego gestapowca ze szpicrutą. Ale nie, nie wspomniał, jakby nie było to ważne. Usłyszałem natomiast co innego.

– Czy mnie kto zdradził? Nie proszę pana. Była solidarność. Nieprzyjemności nie miałem... Chociaż, przypominam teraz sobie, miałem raz trochę strachu. Przez jakąś staruszkę, której dałam w młynie trochę mąki. Przyłapał ją żandarm Swider. Powiedziała, że dostała w młynie. Wezwano mnie na żandarmerię dla konfron-

tacji. Zaprzeczyłem. Wiedziałem, że ona jest trochę głucha, więc mówiłem głośno: – Ta kobieta kupiła mąkę z fury od chłopca. Widziałem, bo to było koło młyna. Staruszka zorientowała się i na pytanie żandarma: „Od niego kupiłaś?” – zaprzeczyła. Gdyby tego nie zrobiła, nie wiem, co by było. Na pewno zaczęliby badać, sprawdzać młyn, a ja wtedy miałem duże braki w magazynach. Wiedziałem, że za to groziła mi śmierć.

Wykorzystałem chwilę milczenia, aby zapytać o rolę młyna w niesieniu ludziom pomocy. Znając już trochę mojego rozmówcę przypuszczałem, że była duża. I rzeczywiście.

– Do młyna przychodziło po pomoc dużo, bardzo dużo ludzi, po 15–20 dziennie. A i więcej. Każdy dostawał ode mnie przynajmniej 5 kg mąki. Nie tylko ja dawałem. Przypomniałem sobie w tym momencie słowa mojego teścia Mieczysława Tabaki, który przeżył okupację na tym terenie. Kiedy zagadnąłem o Brodowskiego, rzekł: – Dobry był chłop, nie ma co gadać. Wrogów nie miał wtedy żadnych i nie ma teraz. Ja sam chodziłem do młyna z osiemnastu razy i za każdym razem dostawałem darmo po 25 kilogramów. Dawał mi walcowy Sobczak. Brodowski wiedział. Kiedy brałem, odwracał się tyłem, niby że nic nie widzi. Przypominam to teraz panu Leonowi Brodowskiemu. Nie przeczy.

– Uzbierało się dlatego tych braków w magazynie sporo. Pod koniec okupacji, w roku 1944 brakowało mi blisko 400 metrów zboża. Widząc moje zdziwienie dodał:

– Bo widzi pan! Ubywało i inaczej. Sprzedawałem mąkę handlarzom z Generalnej Guberni. Za pieniądze. Ale nie dla siebie, nie! To była robota dla polskiego podziemia. Zdobyte pieniądze szły dla biednych rodzin, np. na zakup kartofli. Oddawałem pieniądze Helenie Rudnickiej. Potwierdzić to może także Mieczysław Krupa. Oni wiedzą, komu tej pomocy udzielono.

Pytałem później o to Helenę Rudnicką, w czasie okupacji hitlerowskiej rejonową Armią Krajową. Poświadczyła dodając, że pieniądze te rozdysponowała specjalna komisja.

Już wtedy, w czasie rozmowy z Leonem Brodowskim, uprzytomniłem sobie, że jego działalność nie była jedynie odruchem dobrego serca, lecz także formą walki z okupantem. Tyle tylko, że nie była to walka z bronią w rękę.

Z młyna ostrołęckiego korzystała także Polska Podziemna.

– Łącznikiem między Podziemiem a mną – mówi pan Leon – był Ogiński. Za każdym razem wywoził po kilka worków mąki. Dlatego miałem takie wielkie braki w magazynach. Ludziom mogłem pomagać bez większego uszczerbku dla zapasów, po prostu oszczędziłem. Przy mechanicznym przemiale oszczędzałem 2 kg, a na rozkusz miałem według przepisów 3 kg. Z Ogińskim to co innego, sporo brał.

Zapytałem więc pana Leona, jak udawało się ukrywać braki. Czyżby szefowie młyna, Niemcy, a było ich kilku, nie interesowali się zbytnio pracą młyna?

– Interesowali się. Ale ja siedziałem w młynie ciągle, a oni nie. Zresztą początkowo było źlej, bo był szef, który nienawidził Hitlera. Pochodził z Essen. Raz zwierzył mi się: „Jak to majster zrobić, żeby się dostać, żeby przeżyć?” Jak przyszła jakaś kobieta z prośbą o trochę mąki, mawiał: „szajs, majster, daj!” Za Kravelitzky’ego z Prus było już gorzej, bo był niezrównoważony, nieraz dobry, nieraz zły. A najgorzej za Milewskiego z Ostródy. Był niepartyjny, ale kawał drania. Nic nikomu nie dał, robotników bił. Widziałem, jak zbił batem furmana Władysława Lelujkę. Za drobne przewinienia straszył oddaniem Gestapo, ale nie oddawał, bo byli to kwalifikowani pracownicy. Za jego czasów żyłem w strachu, lecz nie przerwałem swojej działalności. Ocalić życie pomogli mi Polacy z dyrekcji w Przasnyszu. Trzech ich było. Ukrywali niedobory fałszując dokumenty. Jeden z nich za przynależność do Armii Krajowej został przez Niemców powieszony.

Zamilkł na chwilę pan Leon, jakby tymi sekundami ciszy czuł jego śmierć. A może myślał, że to samo na pewno stałoby się z nim, gdyby... Nie wiem, o czym myślał, ale chyba o tym, bo dodał niespodziewanie:

– W młynie przechowywałem broń. Na górze, wśród starych rupieci i starych maszyn. Granaty, pistolety, amunicję. Przywożono ją w workach ze zbożem. Sam przyjmowałem. Wtajemniczona była tylko w tę robotę pracownica Józefa Kaczyńska z Ostrołęki. Po odbiór zgłaszał się Ogiński. Przynosiłem ją wtedy do magazynu osobiście. Żadnego wypadku czy zagrożenia nie było, bo byliśmy bardzo ostrożni i utrzymywaliśmy ścisłą tajemnicę. Takie to widzi pan, było życie. Robiłem to, a przecież chciałem żyć, bardzo chciałem. Mogłem mieć za okupacji pieniądze, duże pieniądze, ale jaki byłby ze mnie Polak, gdy inni głodowali, walczyli i ginęli. Chciałem chociaż trochę sobą służyć.

Pan Leon zakończył wspomnienia. Podziękowałem serdecznie. W drodze do domu towarzyszyła mi myśl, że on wpisany był w tragizm tamtych dni, że i dla niego był to czas walki, ważny, choć cichy front.

Leopold Szwedowski

Powyższy tekst powstał u schyłku lat 50. lub z początkiem lat 60. XX wieku. W Ostrołęce nie było wtedy warunków do jego publikacji, nie istniały bowiem jakiekolwiek lokalne możliwości wydawnicze. Na szczęście ocalał w moim domowym archiwum, by dać dziś świadectwo prawdzie, że przemoc i zbrodnie niemieckiego najeźdźcy nie tylko nie ujarzmiły ducha narodu, lecz uruchamiały w Polakach szlachetne pokłady humanizmu i patriotyzmu. Duch narodu rodził w czasie apokalipsy wielu bohaterów. Jednym z nich był ostrołęczanin Leon Brodowski.

Leopold Szwedowski urodził się 27 sierpnia 1932 roku w rodzinie górniczej w Sosnowcu. Magister filologii polskiej, profesor szkoły średniej, nauczyciel języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym im. Bema w Ostrołęce. Szczególne zainteresowania to religioznawstwo, brydż i szachy. Jest międzynarodowym mistrzem kompozycji szachowej. Znany i ceniony humanista, pedagog, który przez lata swej pracy nauczycielskiej przygotował do odbioru literatury wiele pokoleń ostrołęczan. Autor wielu publikacji.

DZIEWCZYNA Z OSTROŁĘKI



Ostrołęka, jaką pamiętam

Ostrołęka, jaką pamiętam to przede wszystkim miasto z lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych XX wieku. Liczyła wtedy około trzydzieści tysięcy mieszkańców. Składała się z trzech części: centrum – Plac Bema, Wojciechowice – można powiedzieć dzielnica robotnicza skupiona wokół Fabryki Celulozy i Papieru oraz Stacja kolejowa, do której z centrum trzeba było dojechać autobusem, co trwało około dwudziestu minut. Ostrołęka była wówczas miastem powiatowym, wyizolowanym, źle skomunikowanym z innymi miejscowościami, dlatego znalezienie pracy stanowiło nie lada wyzwanie. Województwem stała się dopiero po reformie administracyjnej, w połowie lat siedemdziesiątych. Gdybym zacytowała klasyka i powiedziała, że: „były dwa kościoły i gdzieś tam domek” to może nie zabrzmiałoby to dobrze, ale nie rozminęłabym się jakoś wyraźnie z prawdą. Stały kamienice oraz wille, ale większość to drewniane, nierzadko walące się chaty. Na początku ulicy Łęczysk gdzie mieszkałam, rzucał się w oczy wielorodzinny, drewniany dom, obok stodoła, a na podwórku młócono ziarno wykorzystując kierat poruszany przez konie. Było swojsko, prawie jak na wsi. Szybko jednak ten budynek i jemu podobne zniknęły i pojawiły się nowe. Teraz na miejscu dawnej młockarni stoi nowoczesny blok.

Pamiętam, byłam chora i z lękiem oczekiwałam wizyty lekarza, gdy przyszła Mama i oznajmiła, że na ulicy Sienkiewicza



Lucyna Wiśniewska

kopią fundamenty pod nową szkołę. Byłam tak zaafierowana tym wydarzeniem, że nawet perspektywa zastrzyków nie wydawała mi się straszna. Miała to być najnowocześniejsza szkoła w Ostrołęce i taka była. Zgodnie z obowiązującą numeracją nazwana została „szóstką”. Parkiet z dębowej klepki robił oszałamiające wrażenie. Wszyscy wiedzieli, że muszą zmieniać buty na kapcie i robili to z pełnym zrozumieniem. Nie przypominam tylko sobie, czy pan dyrektor chodził w kapciach, ale chyba nie, bo należało się do niego zwracać „panie magistrze”. W połowie lat sześćdziesiątych uczyło w „szóstce” dwóch magistrów – dyrektor i polonistka. Byli jasno świecącymi gwiazdami w gronie ówczesnych pedagogów i nie należało o tym zapominać. W szkole wszystko było nowe, świeże i piękne. Gdy ktoś, tak jak ja, chodził wcześniej do szkoły numer dwa, gdzie ławki do złudzenia przypominały opisane przez Żeromskiego w *Szyzyfowych pracach*, tymi był po prostu zachwycony.

Każde pokolenie ma swoje nowości i udogodnienia. Dla ówczesnych dzieci nowością były długopisy. Mój pierwszy długopis miał kolor niebieski i trochę się zacinał, lecz mi to nie przeszkadzało. Dobrze pamiętam lekcję historii, gdy nauczyciel wziął ten długopis do ręki i zaczął się nim bawić, a on po prostu rozleciał się. Mój żal był bezgraniczny. Myślałam, że może w zamian dostanę inny, ale nie dostałam. W „szóstce” nauczyłam się grać na mandolinie i na skrzypcach. Miałam chyba dobry słuch, bo szło mi to łatwo i potrafiłam grać z pamięci, ale najwyraźniej nie miałam ochoty tych zainteresowań rozwijać i kontynuować. Niemalże na każdej akademii recytowałam jakiś wiersz. Były to najczęściej teksty Władysława Broniewskiego. Znałam ich wiele i jeszcze dzisiaj je pamiętam. Kiedyś po akademii podeszła do mnie matka mojej koleżanki i powiedziała: dziecko ładnie mówiłaś, ale ty nie masz głosu do wierszy rewolucyjnych, zamiast Broniewskiego lepszy byłby dla ciebie np. Gałczyński. Może i tak, ale Gałczyński nie był rewolucjonistą i nie pisał wierszy zaangażowanych w sprawy polityczne, a wtedy tylko takie wybierano na akademie okolicznościowe. O telefonach komórkowych nikt wówczas nawet nie śnił. W Ostrołęce były telefony w ważniejszych instytucjach oraz kilka w domach prywatnych. Gdy ktoś chciał zatelefonować szedł na pocztę i zamawiał rozmowę. Powolny, by nie powiedzieć leniwy rytm życia w mieście wyznaczały dzwony kościelne, które przypominały o mszy świętej, natomiast zapach, co odczuwało się zwłaszcza w letnie popołudnia, był piorunującą mieszanką woni kwitnących w ogródkach forsycji z odorem oparów wydzielanych przez Fabrykę Celulozy i Papieru. Nie było podobno na to rady, mieszkańcy musieli się przyzwyczaić. Dźwięk dzwonów kościelnych początkowo wywoływał we mnie poczucie wzniosłości, później przygnębienie, którego nie umiałam sobie racjonalnie wytłumaczyć. Przygotowując się do pierwszej komunii miałam pewne problemy i to niemające nic wspólnego z interpretacją katechizmu. Nie wiedziałam np. co to jest żal za grzechy. Prosiłam żeby mi Mama wytłumaczyła,

ale ona machnęła ręką i na tym się skończyło. Pierwszą komunię świętą traktowałam w sposób śmiertelnie poważny. Podchodziłam do spowiedzi kilka razy, bo ciągle mi się przypominał jakiś grzech. W końcu ksiądz stwierdził, żebym przestała je sobie przypominać, gdyż to co powiedziałam wystarczy.

W Ostrołęce były wówczas cztery szkoły średnie: Liceum Ogólnokształcące, Liceum Pedagogiczne, Technikum Mechaniczno-Elektryczne oraz Technikum Papiernicze. Ja chodziłam do Liceum Ogólnokształcącego, natomiast mój starszy brat – Stanisław, do Liceum Pedagogicznego. O Liceum Pedagogicznym wiedziałam głównie z relacji brata oraz z rozmów, które prowadził z Mamą. Przysłuchiwałam się nieraz jak razem przygotowują konspekty zajęć. Mama jako doświadczony pedagog, bratu w tym pomagała. To były precyzyjne, merytoryczne programy, w których ustalało się nie tylko zadawane pytania, ale także przewidywało odpowiedzi uczniów. Później, gdy sama pracowałam w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach i czytałam prace zaliczeniowe pełne ogólników i sloganów zrozumiałam znaczenie Liceów Pedagogicznych. To były po prostu dobre szkoły, a z pewnością taką było ostrołęckie Liceum Pedagogiczne. Liceum Ogólnokształcące było moją szkołą, w której uczyłam się cztery lata. W tym czasie okrzeplam, wydorosłam, nabrałam pewności siebie i wiedziałam co chcę dalej robić. Zawsze i wszędzie ważni są ludzie, a w szkole ważni są nauczyciele, którzy oprócz wiedzy powinni mieć osobowość. Takim nauczycielem był polonista – profesor Leopold Szwedowski. Później, studiując polonistykę poznałam wielu znanych, utytułowanych profesorów, lecz żaden nie oddziałał na mnie tak znacząco jak ostrołęcki polonista. Wsłuchiwałam się w każde jego słowo i bez zastrzeżeń przyjmowałam, nie byłam jeszcze w stanie zdobyć się na sensowną, krytyczną ocenę. Większość uczniów prawdopodobnie w ogóle nie reagowała na jego wynurzenia, ale niektórym, między innymi mnie, „namącił w głowie”. Używam tego sformułowania w jak najbardziej pozytywnym sensie, gdyż bez takiego „mącenia” nie ma samodzielnego

myślenia i rozwoju tylko schematyzm i stagnacja. Szwedowski był znakomitym polonistą. Używał krótkich, precyzyjnych zdań docierając zawsze do istoty rzeczy. Po przedstawieniu problemu sporządzał syntetyczną notatkę. Zaledwie kilka zdań, ale zamieszczał w nich wszystko. Przejęłam od Profesora tę metodę i później, ucząc języka polskiego często ją stosowałam. Wychowawczynią mojej klasy była rusycystka – profesor Maria Gumkowska. Emanowała ciepłem i życzliwością, co pozytywnie wpływało na klasę. Miała swoje metody nauczania języka rosyjskiego, które polegały na „wkuwaniu” słówek i zwrotów, co okazało się nadspodziewanie skuteczne. Sprawdziłam to kilkanaście lat później przebywając na Białorusi, w Związku Radzieckim. Początkowo mówiłam mało, gdyż bałam się popełniać błędy, lecz z czasem było coraz lepiej, pytano nawet czy jestem „pribałtik”, co znaczyło, że mój rosyjski jest bez zarzutu. Nigdy później nie czułam się tak silnie związana z grupą jak w szkole średniej. Wychowawczyni stosowała zasadę „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. To był jedyny okres w moim życiu, kiedy czułam się częścią grupy, która nie była moją rodziną, później postawę prospołeczną zastąpiłam „aspołeczną towarzyskością”¹, co przysparzało mi nieraz sporo problemów. Są ludzie, którzy mają silną potrzebę zanurzenia się w nurt życia społecznego, należał do nich np. mój Ojciec. Bardzo cenię autentyczną pracę społeczną, ale ja takiej potrzeby nie miałam. Gdy to w sobie rozpoznałam stwierdziłam, że nie ma co sztucznie przekraczać pewnych ram. One z pewnością mnie ograniczają, ale też pozwalają czuć się normalnie i mówić własnym głosem.

Maria Gumkowska miała dużo uroku osobistego i mimo że robiła wrażenie słabej i bezradnej zawsze wyegzekwowała to, co chciała. Dyscyplinę w klasie trzymała żelazną ręką. Nawet nie umiałabym sobie wyobrazić, że można nie przyjść na wieczorek organizowany przez klasę. Jakież było moje zdziwienie, gdy na dy-

¹ Jest to określenie I. Kanta.

skotekę inaugurującą pierwszy rok studiów w warszawskim klubie „Ubab” przysłała tylko połowa grupy. Poczułam się wówczas bardziej wolna, ale mniej bezpieczna. Było jeszcze dwóch nauczycieli, których doskonale pamiętam – łacinnik, nazywany Quintusem oraz historyczka – Irena Bierońska. Gdy nadchodził 4 grudnia, tj. imieniny Barbary (w klasie były dwie Basie) łacinnik mówił, że jest „barbar”, czyli barbarzyńiec i także ma imieniny. W istocie był przeciwieństwem „barbara”. Miał w sobie coś z greckiego mędrca i rzymskiego wojownika. Potrafił być ironiczny i prześmiewczy, lecz w gruncie rzeczy miał dużo dobrego serca. Uczniowie go lubili, chociaż nigdy między sobą i nimi nie skracał dystansu. Na uroczystościach, zwłaszcza, gdy towarzyszyła im zabawa i tańce, siedział z boku i przyglądał się. Zapytałam go kiedyś: dlaczego nie tańczy? Zawinął wówczas rękaw koszuli i pokazał wytatuowany w Oświęcimiu numer. Zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie i doskonale tę sytuację zapamiętałam. Quintus i Pani Bierońska tworzyli ostry kontrast. On wysoki szczupły ona nie niska, ale też nie szczupła. Łacinnik był jednym z nielicznych, którzy mogli sobie pozwolić pod adresem byłej Pani Dyrektor na złośliwości. A ona potrafiła dostarczać sytuacji, które irytowały. Była apodyktyczna, nieraz sarkastyczna, ale historię traktowała poważnie, z pasją, którą chciała zarazić innych. Ja lubiłam ten przedmiot i Pani Bierońska mnie nie przerażała, lecz dla niektórych była postrachem. Tak się złożyło, że w późniejszej pracy historia, zwłaszcza historia Polski była mi bardzo potrzebna. W dużym stopniu bazowałam na tym, czego nauczyłam się w szkole średniej. Byłam i jestem za to Pani Bierońskiej wdzięczna.

Ostrołęka jaką pamiętam to przede wszystkim szkoła podstawowa i średnia, ale także kamienica na ulicy Łęczysk, gdzie mieszkałam, rzeka Narew, nad którą spędzałam niemalże każde wakacje, zwykła codzienność, której rytm wyznaczały powtarzające się sytuacje. We wtorek i piątek szło się na tzw. rynek, czyli targ, w niedzielę obowiązkowo do kościoła, od czasu do czasu „przebiegało się” – jak

to nazywałam – ulice Ostrołęki, głównie – „mały rynek”, Plac Bema i Kościuszki. Nieraz zachodziłam do cukierni „u Leszczyńskiego”, gdzie były doskonałe ciastka i lody. Nie chodziłam jeszcze wówczas do kawiarni, zresztą w Ostrołęce ich nie było. Znajdowała się jedna „Na Skarpie”, do której chodziła młodzież licealna, ale jednocześnie wpadał tam nauczyciel, który później nagłośnił w szkole, kto, z kim, gdzie był i co robił. Miał ksywę „Gebels”. Zawsze ktoś stał na straży i na hasło „Gebels” wszystko wracało do należytego porządku. Znikał alkohol, papierosy i żadnych niewłaściwych słów, tylko piękna polszczyzna.

Niektórzy twierdzą, że ich pierwsze „miłości” pojawiły się już w przedszkolu. Ja nic takiego nie doświadczyłam, nie przypominam sobie również tego typu przeżyć ze szkoły podstawowej, dopiero z liceum. Obiektem mojego zauroczenia był Jarek, uczeń klasy maturalnej naszego liceum, ode mnie chyba dwa lata starszy. Mieszkał razem z matką w domku jednorodzinny niedaleko parku, jego ojciec przedwcześnie zmarł. Matka przebywała zazwyczaj na parterze, on na poddaszu. Nigdy nie przychodziła na górę, dlatego nie miałam okazji jej poznać, nawet nie wiedziałam jak wygląda. Musiała być kobietą wyjątkowo tolerancyjną, gdyż nic jej nie przeszkadzało – głośna muzyka, także rozmowy i ciągle wychodzący bądź przychodzący znajomi syna. Jarek był blondynem o regularnych rysach twarzy, szczupły, ode mnie zdecydowanie wyższy. Był bardzo żywiołowy, bez przerwy coś mówił i gdzieś pędził. Z jego opowiadań wiedziałam, że miał wcześniej dziewczynę, córkę dyrektora nowo otwartego szpitala na ulicy Sienkiewicza, lecz, zapewniał, że to już przeszłość. Mówił, że spotykali się na cmentarzu koło grobu „na kulach”. Używał takiej nazwy, gdyż obramowanie grobu stanowiły łańcuchy umocowane na czterech kulach. Wydawało mi się to niesamowite, nietuzinkowe, po prostu fascynujące. Pamięć jest w trudny do wytłumaczenia sposób selektywna. Nie pamiętam dokładnie jego twarzy, barwy głosu, ale pamiętam jesionkę. Była w kolorze piaskowym i miała charakterystyczny zapach mokrego

materiału. To była zimowo-wiosenna znajomość, która skończyła się z nadejściem lata. Nabierała znaczenia wraz ze zbliżającą się wiosną, która w tym roku była wyjątkowo deszczowa, stąd zapewne taki zapach jesionki. Przedwiośnia są do siebie podobne, dlatego na ogół ich nie pamiętamy, lecz ja tę końcówkę zimy dobrze zapamiętam – płynące kry po Narwi, jaskrawe słońce, resztki topniejącego śniegu, pierwsze pąki na gołych jeszcze drzewach, no i emocje, o których się nawet filozofom nie śniło.

Na poddasze, gdzie mieszkał Jarek przychodziło wielu jego znajomych, ale z perspektywy czasu niewiele potrafiłabym o nich powiedzieć. Pamiętam jedynie krzykliwą dziewczynę i jej chłopaka, który palił dużo papierosów. Byli ode mnie starsi, więc czułam się przy nich trochę jak smarkata. Oni zresztą tę niewielką w gruncie rzeczy różnicę wieku chętnie podkreślali nazywając mnie małą-latą. Przygotowywali się do matury i prosili mnie, żebym pisała wypracowania-ściagi, co robiłam z przyjemnością. Tamten czas kojarzy mi się przede wszystkim z piosenkami „Czerwonych Gitar”, odtwarzanymi do znudzenia na niezbyt sprawnym adapterze Bambino. To był maj, kwitły kasztany i pachniała cała Ostrołęka. Nawet trudne do zniesienia wyziewy z Fabryki Celulozy i Papieru nie były w stanie tego faktu zmienić. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zaczęło się świętowanie. Niewielki pokój na poddaszu szybko okazał się zbyt ciasny, dlatego przenieśliśmy się do pobliskiego parku. Zabawa trwała do późnych godzin wieczornych, a może i rannych. Moi rodzice przebywali na parterze, natomiast my, tzn. dzieci, na pierwszym piętrze. Gdyby wiedzieli, o której wróciłam nie obesłoby się bez tzw. „kazania”, ale udało mi się bezszelestnie przemknąć po schodach i wszystko było normalnie. Dzisiaj, gdy w pamięci przywołuję tamte wydarzenia niejako automatycznie powtarzam – szkoda, że *to se ne vrati*.

Dom na Łęczysku, w którym mieszkałam to kamienica wybudowana tuż przed wojną przez dziadków. Duży, piętrowy budynek, w którym oprócz rodziców mojej Mamy i nas, czyli moich rodzi-

ców i trójki rodzeństwa, mieszkało również kilkunastu lokatorów. Gdyby babcia mogła wybierać lokatorów najprawdopodobniej byłiby inni, lecz ona, mimo że ogromnym wysiłkiem wybudowała ten dom, niewiele w kwestii wynajmowania mieszkań miała do powiedzenia. Najemcy pojawiali się niespodziewanie z nakazem z tzw. kwaterunku i oświadczali, że będą mieszkać, a właściciel budynku mógł tylko wyrazić zgodę. To były „zdobycze” nowego ustroju, w którym tak właśnie realizowano socjalistyczną zasadę równości. Dziadek Kukliński przed wojną pracował jako urzędnik, przez jakiś czas pełnił również funkcję sekretarza gminy Nakły. Był człowiekiem wielkiej uczciwości, lecz niezbyt praktyczny i najprawdopodobniej ten dom nigdy by nie powstał gdyby nie babcia. Odkładała z pensji męża część pieniędzy, a gdy uzbierała sporą sumę, wyrzuciła wszystkie na stół i oświadczyła: „Czesiek, budujemy dom”. Wyobrażam sobie jego zdumienie. W tej sytuacji mógł tylko odpowiedzieć: „Tak Ola, budujemy”. Kosztowało ich to dużo pieniędzy, wysiłku i samozaparcia. Gdy dom był gotowy, a babcia oddała Żydom ostatnie pożyczone dolary (z jej opowiadań pamiętam, że kosztowały cztery złote) wybuchła wojna. Dom, można powiedzieć, „jak spod igły”, duże podwórko i piękny ogród – nic dziwnego, że spodobał się Niemcom. Zamieszkał w nim niemiecki sędzia z rodziną. Babcia uprosiła go, by za pranie, prasowanie i sprzątanie pozwolił jej zostać. Mogła w ten sposób pilnować swojej kamienicy, jeżeli w ogóle, w tych warunkach było to możliwe. Jesień początku wojny była podobno wyjątkowo piękna. W ogródku czerwieniły się malinowe pomidory, które babcia mogła zerwać i zanieść żonie sędziego, dla niej były niedostępne. Kamienica przetrwała czas wojny nienaruszona, lecz okaleczona. Pozostały w niej ślady pocisków, także duża wyrwa, prawdopodobnie po bombie. Moi rodzice tuż po wojnie przez pewien czas pracowali jako nauczyciele na kurpiowskiej wsi Grale. Tam spędziłam pierwsze lata swojego życia. Gdy zdecydowaliśmy się wrócić do Ostrołki, mimo że w jakimś sensie byliśmy właścicielami

kamienicy, nie mieliśmy gdzie mieszkać. Wszystkie pomieszczenia wypełnione były lokatorami, którzy na ogół nie traktowali je jako przejściowe, lecz docelowe. Właściciele kamienic jak wszyscy inni właściciele byli wówczas źle widziani, a upominanie się o swoje przypominało przysłowiową „orkę na ugorze”. W końcu po długich staraniach udało nam się przeprowadzić do Ostrołęki i zamieszkać w niewielkim pokoju z kuchnią. Aż trudno uwierzyć, gdyż byliśmy sześćoosobową rodziną. Najstarszy brat spał właściwie pod stołem, tzn. na kozetce, ale zastawioną stołem tak, że widać mu było tylko głowę. Obok w podobnym pomieszczeniu mieszkali, żyjąc w konkubinacie, wysoka, dobrze zbudowana pani Zofia oraz niski i raczej szczupły pan Piotr. Ich oczkiem w głowie był wielki, kudłaty pies Bary. Dzieliliśmy z nimi wspólny przedpokój. Zastanawiać może, że w mieście, gdzie wbrew pozorom nie rządziła partia, lecz Kościół i nie było nic ważniejszego od zasad moralnych gwarantowanych autorytetem boskim, konkubinaty moich sąsiadów nie robił większego wrażenia, nie był nawet tematem plotek. Uznano, że jeżeli tak jest to widocznie tak musi być. Także moja babcia przeszła nad tym do porządku dziennego. Skomentowała jedynie sytuację, która powstała po śmierci pana Piotra, gdy pochowany został na cmentarzu w wynajętej kwaterze. Powiedziała wówczas: „całe życie na komornym i jeszcze po śmierci, czy to nie za dużo?”

Po pewnym czasie wyprowadził się jeden z lokatorów i zajęliśmy pokój na piętrze. Było dobrze, przede wszystkim swobodnie, gdyż rodzice zostali na parterze i niezbyt często tam przychodzili. Najbardziej zadowolony z tej sytuacji był najstarszy brat – Stanisław, gdyż przychodził o której chciał, a my musieliśmy milczeć, bo tak nam nakazał. W całym domu były piece kaflowe, dopiero później założyliśmy centralne ogrzewanie. Z piecem zawsze był spory kłopot. Trzeba było nosić drzewo i węgiel, lecz, można bez przesady powiedzieć, że stanowił „wartość samą w sobie” i nie da się go w żaden sposób porównać z później założonymi kaloryferami. Rozpalony piec tworzył centrum życia rodzinnego i skupiał wszyst-

kich, choć ze względu na gabaryty i sposób ustawienia siedzieć, lub stać przy nim mogła tylko jedna osoba.

Przez ścianę sąsiadowaliśmy z młodą (miała około trzydziestu lat) atrakcyjną kobietą, która zajmowała duży, ładny pokój z balkonem. Pracowała w „Ruchu”, nie w kiosku, lecz w biurze nadzorującym kioski. Prowadziła ożywione życie towarzyskie, co było przez sąsiadów tolerowane, ale do czasu, do momentu, kiedy przyprowadziła Murzyna. Wywołała tym istne „tsunami”. Nawet najbardziej powściągliwi sąsiedzi, do których należała moja Mama, nie byli w stanie tego zaakceptować, babcia natomiast orzekła, że Pani ta wszczyła awantury, nie płaci czynszu, zatem najlepiej byłoby gdyby się wyprowadziła, czego oczywiście nie zrobiła.

W żadnej dziedzinie życia postęp nie jest tak widoczny jak w technice. Dzisiaj pralka „Frانيا” jest obiektem muzealnym, wtedy stanowiła szczyt techniki i przedmiot pożądania każdej gospodyni domowej. Była wielkim udogodnieniem, gdyż uwalniała od wymagającego dobrej kondycji fizycznej prania na tarze. Istniał jeszcze w tym czasie zawód praczki. Wykonywała go Pani Saluszevska, lokatorka mieszkająca na parterze. W letnie dni całe podwórko zawieszono było koszulami, skarpetkami oraz innymi rzeczami. Taką ilość ubrań trudno było wyprać, lecz jeszcze trudniej wyprasować. Pamiętam ją jako starszą, postawną kobietę, która upinała w kucyk swoje siwe włosy. Mieszkała sama, od czasu do czasu, głównie w wakacje, przyjeżdżały do niej młode dziewczyny z Wrocławia, chyba siostrzenice. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek narzekała na zdrowie czy przemęczenie. Była nieprawdopodobnie silna i żywotna, miałam wrażenie, że energii jej wyłącznie przybywa. W sąsiedztwie pani Saluszeskiej mieszkała krawcowa z mężem i dwójką dzieci – Tereską i Krzysiem. Mąż pracował w Fabryce Celulozy i Papieru, ona natomiast wychowywała dzieci i dorabiała szyciem. Była dobrą krawcową, dlatego przychodziły do niej kobiety z całej Ostrołęki. Przymiarka to sytuacja towarzyska, która sprzyja bardziej lub mniej poufnemu przekazywaniu informacji.

Najbardziej cenne są te, które mają w sobie coś niezwykłego lub niedozwolonego. Pani Nowacka, tak brzmiało jej nazwisko, była skarbnicą takich wiadomości. Doskonale wiedziała kto ma jakie kłopoty i słabości – sukcesy raczej nie karmiła plotek. Wiedziała również jak powinny wyglądać prawidłowe relacje między ludźmi, chociaż sama ich sobie ułożyć nie potrafiła. Jej życie to wieczne kłótnie i wojenki o nic. Przyczyną jej nieszczęścia był mąż, w gruncie rzeczy sympatyczny i jak to się mówi, „pocziwy” człowiek, który nie mogąc znieść wiecznych pretensji żony topił smutki w alkoholu. Gdy doszło do sprawy rozwodowej proszono moją Mamę na świadka. Zdecydowanie odmówiła nie chcąc być w tym konflikcie stroną. Zapytałam ją jak ocenia tę sytuację i kto według niej bardziej przyczynił się do rozkładu małżeństwa – najwyraźniej nie chciała na ten temat mówić, machnęła tylko w charakterystyczny sposób ręką i powiedziała – przecież nie on. Kłopoty w małżeństwie sąsiadów nas tj. dzieci raczej nie interesowały, chyba, że zachowywali się bardzo głośno, natomiast zainteresowani byliśmy telewizorem. Tylko państwo Nowaccy w całej kamienicy mieli ten cud techniki i byli na tyle uprzejmi, że mogliśmy oglądać programy właściwie bez ograniczeń. Moja siostra – Ania lubiła programy dla dzieci, przychodziła je oglądać z samego rana i dziwiła się, że „oni tak długo śpią”. Wszyscy wspólnie, gospodarze i sąsiedzi, oglądali czwartkowy teatr sensacji – kobra. Jakość obrazu telewizyjnego była słaba, wspomaganie stabilizatorem też niewiele pomagało. Przeżycia były jednak tak silne, że wszelkiego rodzaju mankamenty techniczne nie miały większego znaczenia. W naszym domu telewizor pojawił się później. Ojciec obronił wówczas w Krakowie pracę magisterską, przez co wzrosły jego zarobki. Nie od razu dostał wyrównanie. Zwlekano z wypłatą dość długo, przez co suma skumulowała się na tyle, że można było kupić telewizor. To była „Toska”, zjawiskowy mebel, od którego nie odstępowaliśmy na krok. To były początki telewizji polskiej, które bez przesady, można nazwać jej złotym wiekiem. Emitowano programy na najwyższym poziomie: „Kabaret

starszych panów”, „Stawka większa niż życie”. „Wojna domowa”. Szczególnie zapadły mi w pamięć doskonale wyreżyserowane i aktorsko obsadzone poniedziałkowe teatry. Te, które można odnaleźć w internecie, jeszcze dzisiaj oglądam z dużą przyjemnością.

W kamienicy były dwa psy i prawdopodobnie kilka kotów, z których zapamiętałam przede wszystkim dwa. Funkcjonowały nie obok siebie, lecz po sobie, gdy jeden z jakichś powodów znikał pojawiał się następny. Pies pani Zofii – Bary był wielkim, kudłatym zwierzęciem. Przypominał trochę lwa, gdy się pojawiał siał strach i grozę, lecz w gruncie rzeczy był przyjazny i delikatny. Kładł się w przedpokoju zajmując całą przestrzeń. Trzeba było uważnie przechodzić, by go nie nadepnąć. Nie wiem jaka to była rasa, wiem natomiast, że zastąpił go bokser – silny, ruchliwy, z przenikliwym spojrzeniem, do którego jednak nie umiałam się przekonać i omijałam go z daleka. Czarnego kota może bym nawet nie pamiętała, gdyby nie mój najmłodszy brat – Andrzej. Panicznie się go bał. Gdy słyszałam krzyk wiedziałam, że najprawdopodobniej pojawił się czarny kot. Próbowałam jakoś brata z tym zwierzątkiem oswoić, a było rzeczywiście ładne. Miał majestatyczne ruchy, idealnie czarną sierść i zielone, fosforyzujące oczy. Nic jednak nie pomagało, kot wywoływał krzyk, to był odruch bezwarunkowy. Następcą czarnego kota był rudy. Nic w nim szczególnego nie było, chyba tylko to, że był długowieczny, ciągle był.

Moje dzieciństwo i pierwsze lata wchodzenia w tzw. dorosłość związane były z ogrodem. Każdy ogród ma w sobie coś bajecznego, lecz mój szczególnie, a może tak mi się wydawało? Grusze, jabłonie, krzewy malin, porzeczek i agrestu, wszystko, gdy przyszła wiosna kwitło, a latem i jesienią dawało owoce. Były również pszczoły i autentyczny miód. Na końcu ogrodu rósł rozłożysty orzech. Był pięknym drzewem, ale dawał niewiele owoców. Stał tuż przy płocie odgradzającym nas od sąsiadów. Gdy przeszłam przez dziurę w płocie i przemknęłam przez podwórko sąsiadów byłam niemalże przy wejściu do „szóstki” – tak skracałam sobie drogę do szkoły.

Właściciele posesji najwyraźniej to tolerowali, gdyż nikt mi nigdy nie zwrócił uwagi, nie doniósł również moim rodzicom.

Dwie sąsiadki z parteru ciągle czymś handlowały. W dni targowe widziałam je na bazarze z naręczem sweterków, bluzek oraz innych rzeczy. Mój ojciec przyglądał się tym praktykom z dystansem, zaliczając handlowanie starymi ubraniami do wartości niższych, niedorównujących np. numizmatyce, którą się zajmował. Swoje hobby, czyli zbieranie starych pieniędzy, sytuował w rzędzie wartości wysokich, w jakimś sensie wyróżnionych. Jakkolwiek się na to patrzyło i oceniało bazar stanowił w tym czasie ważny element życia miasta, usytuowany w samym środku zmieniał się w dni targowe w centrum życia towarzyskiego. Tutaj można było spotkać znajomych, porozmawiać, zaprezentować najnowsze stroje i oczywiście zrobić zakupy. Pamiętam, że wszystko było świeże i pachnące: masło zawinięte w chrzanowe liście, śmietana, kurczaki. Zrobiony z nich niedzielny rosół pachniał na całą kamienicę. Gdy niedawno kupiłam na kieleckim bazarze kurczaka, który okazał się starą kurą, pomyślałam sobie, że w Ostrołęce nigdy by mi czegoś takiego nie sprzedano.

Nie potrafiłabym wyobrazić sobie Ostrołęki bez Narwi. To miasto i ta rzeka są dla mnie zespolone. Ilekroć zbliżam się do ostrołęckiej Narwi zawsze towarzyszą mi fantastyczne obrazy i niepowtarzalne przeżycia, serce bije mi mocniej, bo czuję, że wracam do siebie, do swojego matecznika. W szkole nauczyłam się wierszyka, który nieraz później powtarzałam:

Nad błękitną moją Narwią,
Najpiękniej się kwiatki barwią.

Kwiatki rzeczywiście „barwiły się”, lecz Narew nie była błękitna. Ja doroślałam, a rzeka stawała się coraz bardziej zanieczyszczona. Były jednak miejsca z czystą wodą i piaszczystym brzegiem, gdzie chodziłam z młodszym rodzeństwem opalać się i kąpać. Dla star-

szego brata nie byliśmy godnym uwagi towarzystwem. Miał swoje wydeptane ścieżki, zajęcia oraz kolegów, o czym nie musieliśmy wiedzieć. Szybko wszyscy nauczyli się pływać. Czuliśmy się „jak ryby w wodzie”, rzeka była naszym żywiołem, mogliśmy z niej nie wychodzić. Najchętniej chodziliśmy na tzw. babską plażę, gdzie Omulew wpływa do Narwi. Miejsce nie należało do najbezpieczniejszych, gdyż rzeki łącząc się ze sobą wytwarzały wiry. Od czasu do czasu zdarzały się utonięcia, lecz w granicach wytyczonych bojami nic nie groziło. Przychodziliśmy wczesnym przedpołudniem, wracaliśmy wieczorem. Braliśmy ze sobą odpowiednią ilość kanapek oraz napojów i to nam wystarczało. Odcinek drogi między naszym domem, a plażą nie był długi. Należało przejść przez wąską uliczkę, gdzie na ziemi zawsze leżały jakieś spady – jabłka, gruszki, śliwki. Były świeże i dobre, więc zbieraliśmy je jako uzupełnienie prowiantu. Idąc prosto wychodziliśmy na polanę z jeziorkiem, które zarośnięte trawą i krzewami było prawie niewidoczne, o jego istnieniu przypominał wieczorem głośny rechot żab. Ujawniało się w całej pełni jesienią, gdy nadchodził czas kiszenia ogórków. Polana zastawiona była wówczas beczkami wypełnionymi ogórkami, które umieszczano na dnie jeziorka. Pachniało porozrzucanym wokoło koprem oraz miętą, której rosło tam mnóstwo. Zimna woda zastępowała chłodnię, a ogórki smakowały wybornie. W pobliżu jeziorka swoją drewnianą „budkę” miał pan Strzałkowski, obok wisiały sieci i stały przycumowane do brzegu łódki. O kąpeli w tym miejscu nie mogło być mowy, dlatego szliśmy dalej. Po drodze należało ominąć olbrzymie głązy – pozostałość po niemieckich bunkrach i dochodziliśmy do celu. Nasza plaża to kilka starych drzew, krzewy, żółty piasek i oczywiście woda, czyli wszystko to, co pozwalało nam czuć się znakomicie i mieć fantastyczne wakacje. Dzisiaj, gdy mogę spędzać urlop za granicą i kąpać się w renomowanych ośrodkach doskonale wiem, że żaden elegancki kurort nie jest w stanie konkurować z „babską plażą”. Taka jest moja subiektywna prawda, ale prawdą jest również to, że z biegiem lat coraz bardziej brakowało

mi w Narwi czystej wody. Gdy będąc już w Warszawie zaproponowano mi wyjazd na obóz studencki do Tykocina, pomyślałam sobie – doskonale, popływam w czystej Narwi. Ale znowu okazało się to niemożliwe. Najwyraźniej „błękitne” wody Narwi dostępne są tylko poetom, zwykli śmiertelnicy nie mają do nich dojścia.

Z Ostrołęki wyjechałam mając osiemnaście lat, lecz ciągle mieszkali tu moi rodzice, zatem często przyjeżdżałam. Na pewno na każde święta i może nie na każde, lecz na większość wakacji. Miasto, zwłaszcza, gdy zostało stolicą województwa, rozrosło się i wypiękniało. Jak grzyby po deszczu pojawiały się osiedla, restauracje, kawiarnie. Wybudowano nowy most, który usprawniał komunikację i likwidował tzw. korki. To było zupełnie inne miasto – dynamiczne, przykuwające uwagę kolorowymi wystawami sklepów, reklamami, spotami. Podziwiałam je, myśląc – nie bez żalu – to już nie jest tamta Ostrołęka.

Dom rodzinny – mój Ojciec

Nigdy nie da się odtworzyć dosłownie tego „jak było”, zawsze będą to jakieś „powidoki”, ale nie staram się konfabulować, upiększać, znacząco zmieniać fakty. A są to fakty, których nie zacerpnęłam z jakich starych dokumentów czy trudno dostępnych źródeł, ale sama je doświadczyłam i przeżyłam. Znaczenie domu rodzinnego jest czymś oczywistym i nie ma powodu zapewniać, że tak właśnie jest. Jesteśmy w jakimś sensie echem naszej rodziny i tego jaki kształt nadało nam dzieciństwo. Rodzinę mamy na zawsze, bez względu na wszystko, bo nawet, gdy kontakty słabną, możemy je z powrotem zacieśnić.

Najstarszy brat, Stanisław, jest ode mnie prawie siedem lat starszy, gdy ja dorastałam on już wyjechał z Ostrołęki i rozpoczął dalszą naukę, najpierw studiując śpiew i muzykę w Studium Nauczycielskim w Grodzisku Mazowieckim, a potem historię na Uniwersytecie Warszawskim. Przysyłał mi nieraz płyty pocztówkowe z nagraniami, które

sobie odtwarzałam na adapterze. Na szesnaste urodziny dostałam od niego płytę „Bitelsów”, którą przegrywałam w nieskończoność. Mieliśmy wówczas „Aidę” – duże radio z adapterem, najprawdopodobniej kupione przez ojca, gdyż zawsze kupował rzeczy duże, masywne i trwałe. Najmłodszy brat, Andrzej, jest z kolei ode mnie prawie pięć lat młodszy, wtedy traktowałam go jak dzieciaka. Ciągłe gdzieś tam chodził i wracał z obitymi kolanami. Kiedyś wszedł na płot i poważnie skaleczył rękę. Wszyscy byli przerażeni, siostra płakała, babcia chciała wziąć go do szpitala, a on nie uronił nawet łezki. Najwyraźniej był zadowolony, że stał się centrum zainteresowania i wszyscy tylko nim się zajmowali. Był bardzo ładnym dzieckiem. Czarne włosy, także oczy i piękne, długie rzęsy. Szczególnie rzęsy zwracały uwagę, często go proszono: „Andrzejku, zamknij oczy”, co robił z przyjemnością. Kiedyś na Wielkanoc stłukł pisankę i przyszedł z nią do mnie prosząc: „Lucia, nareperuj”. Tłumaczenie, że to niemożliwe, zupełnie do niego nie trafiało, uważał, że wszystko można nareperować, nawet stłuczone jajko. Był zabawny, traktowaliśmy go jak maskotkę. Później, gdy zaczął dorastać pokazał, że ma charakter nie mniej skomplikowany niż jego starszy brat – jacyś „znajomi z Mazowieckiej”, gra na gitarze, – do której nie miał talentu, szybkie samochody. Wiadomo, dorosnąć nie jest łatwo, a potem żyć jeszcze trudniej, ale ostatecznie Andrzej stał się ojcem bardzo zdolnej córki oraz szanowanym obywatelem podwarszawskiego miasta Brwinów. Starszy brat jest również ojcem zdolnej, już niestety nie takiej młodej, lekarki i dziadkiem pięknej wnuczki. Przez wiele lat uczył historii w Liceum Ogólnokształcącym w Milanówku, natomiast po przejściu na emeryturę wrócił do zainteresowań muzycznych, które w szkole średniej zaszczerpił w nim prof. Jan Górzyński. Jedno z pomieszczeń w jego mieszkaniu zastawione jest pucharami oraz obwieszone dyplomami. To, co wciąż robi (prowadzi zespół chóralny) nazywa się pasją, której każdemu, także jemu można pozazdrościć. Mało kogo stać dzisiaj na entuzjazm w podejmowaniu działań, dlatego wzbudza mój podziw. Gdy ja kończyłam Liceum Ogólnokształcące moja siostra

Ania dopiero je zaczynała. W warszawskim akademiku na Kickiego mieszkał Wojtek Woźniak. Widząc jak pakuje swoje rzeczy zapytałam gdzie wyjeżdża, powiedział: do Ostrołęki uczyć polskiego. Jak się później okazało uczył polskiego moją siostrę. Miałyśmy jakieś wspólne koleżanki, których już dobrze nie pamiętam, no może poza Iwoną, z którą Ania była w jednej klasie. Iwona miała w sobie coś z rewolucjonistki, jakąś nieprawdopodobną energię, której nie umiała spożytkować. Odznaczała się przy tym błyskotliwością oraz inteligencją. Jak widać powiązanie inteligencji z energią życiową wcale nie jest proste. Potem, gdy urodziła niepełnosprawne dziecko była jedną z pierwszych ostrołęczanek, której mąż zdecydował się wziąć urlop macierzyński.

„Wyścig szczurów”, czyli mordercza konkurencja nie jest wynalazkiem współczesnych, zawsze była i będzie. Wiedziałam, że niełatwo jest, zwłaszcza, gdy pochodzi się z małego miasta, zdać egzamin na wyższą uczelnię, często odpadali najlepsi. Studiowanie w tamtych czasach było o wiele trudniejsze niż dzisiaj, funkcjonowało zaledwie kilka uczelni, które dbały o poziom. Zastanawiałam się, jaki kierunek studiów Ania wybierze – wybrała astronomię. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, patrzenie w gwiazdy to fascynująca sprawa, ale... nawet ja, która zdecydowałam się, jako drugi kierunek, studiować filozofię miałam poważne wątpliwości, czy to dobry wybór. Przywiozłam siostrze *Wstęp do socjologii* Jana Szczepańskiego i prosiłam, żeby się zastanowiła nad socjologią, ona jednak nie była tym zachwycona. Ostatecznie zadecydował przypadek. Spotkałam na korytarzu w akademiku koleżankę z ekonomii, która zaprosiła mnie na herbatę. Wtedy jeszcze zapraszałyśmy się na herbatę, kawa pojawiła się później. W trakcie rozmowy napisała mi na kartce zadania z matematyki, które miała na egzaminie wstępnym, wysłałam je siostrze i za kilka miesięcy Anka była już studentką ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego. Do tej pory nie jestem do końca przekonana, czy astronomia nie byłaby lepsza, ale stało się – mam siostrę ekonomistkę.

Od kiedy pamiętam zawsze byli z nami dziadkowie, tj. rodzice Mamy. Mieszkali obok czujnie obserwując nasze zachowanie. Rodziców Taty nie pamiętam, gdyż zmarli przed moimi narodzinami. Mama miała dwie siostry i brata Ireneusza, który zmarł mając zaledwie kilka miesięcy. Najmłodsza, Barbara, pracowała w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, jako lektorka języka angielskiego. Cecylia także mieszkała w Warszawie wykonując zawód architekta. Cecylia już w latach sześćdziesiątych prowadziła samochód, czym wzbudzała nasze uznanie, nawet podziw. Przyjeżdżała z mężem, Witoldem Giriatem, już wówczas znanym naukowcem (specjalistą od półprzewodników) stawiając samochód tuż przed wejściem do domu. Okrążaliśmy go ze wszystkich stron nazywając „taksówką”. Musieli nam zrobić krótki wykład z logiki tłumacząc, że każda taksówka jest samochodem, ale nie każdy samochód jest taksówką. Nieraz brali nas na przejażdżkę, ale to nie było często. Moi dziadkowie byli jak najbardziej emocjonalnie dostępni i łączyła nas silna więź, lecz nie pamiętam, abym u któregoś z nich siedziała na kolanach. Była między nami bliskość i jednocześnie pewna odległość, którą wszyscy uznawali za coś oczywistego i czuli się z tym dobrze. Babcia była dla nas starszą kobietą i nie boję się użyć tego sformułowania, zjawiskiem. Zwykła i niezwykła zarazem przyciągała uwagę nie urodą, czy strojami, chociaż była ładną kobietą, lecz głosem i sposobem prowadzenia rozmowy. Nie należała do tych kobiet, którym, jak to mówią, „nie zamykają się usta”, lecz przykuwała uwagę inteligencją, błyskotliwością, trafnością spostrzeżeń. Było w niej coś charyzmatycznego. To nie babcia, jak zazwyczaj bywa, chwaliła się wnukami, lecz wnuki podziwiała babcie. Nie miała żadnego wykształcenia, a mogłaby swobodnie konkurować z profesorkami wyższych uczelni. Jej przykład uświadomił mi, że wykształcenie nie jest aż tak bardzo ważne, chociaż nigdy go nie lekceważyłam. Dziadek w jej obecności w zasadzie milczał, albo mówił niewiele, gdyż wiedział, że żona wytłumaczy wszystko najlepiej. Była kwintesencją uroku osobistego i kobieco-

ści. Nie dziwię się, że Czesław w młodości stracił dla niej głowę, a później świata poza nią nie widział. Jej niemalże wierną kopią była Cecylia, o mojej Mamie Oleńka (tak babcia miała na imię) mówiła: Haniu, ty jesteś w ogóle do mnie niepodobna. I rzeczywiście tak było, Mama nie tylko wygląd zewnętrzny, ale i cechy charakteru przejęła w dużym stopniu od dziadka, z którym łączyła ją szczególna więź emocjonalna. W moim warszawskim mieszkaniu, na komódce, stoi oprawiona w ramki fotografia z dedykacją: „Ofiarowuję kochanej Oleńce – Czesław”. Młody, dwudziestoletni mężczyzna, z jasnymi, czesanymi z tzw. „przedziałkiem” włosami, wąsikiem, regularnymi rysami twarzy i utkwionym w dal spojrzeniem. Zdjęcie było zrobione prawdopodobnie tuż po jego powrocie z wojny bolszewickiej, zwanej „cudem nad Wisłą”, na której – co wiem z opowiadań – było tak strasznie, że zamierzał odebrać sobie życie. Ale przetrwał, spotkał Olę, założył rodzinę i przeżył życie tak, że pamiętają o nim dzisiaj nie tylko najbliżsi. Od czasu do czasu przyjeżdżamy na ostrołęcki cmentarz zrobić tzw. „porządki”: odświeżyć płyty grobów, położyć kwiaty, zapalić znicze. Jakież było nasze zdumienie, gdy w zwykły dzień (to nie był 1 listopad) przyszła nieznana nam kobieta, zapaliła świeczkę i położyła na grobie dziadka bukiet kwiatów. Powiedziała, że kiedyś w trudnej sytuacji bardzo jej pomógł i ona o tym pamięta. Dowiedzieliśmy się od nieznanego tego, co od dawna każde z nas doskonale wiedziało, że Czesław Kukliński był dobrym człowiekiem. Można powiedzieć, „wyświechtane” określenie i nie wiadomo do końca co znaczy, ale trudno znaleźć lepsze i ono niemalże automatycznie nasuwa mi się, gdy myślę o dziadku.

Nie zamierzam tu szczegółowo przedstawiać swojej rodziny. Kto jak sobie życie ułożył, w jakie relacje wszedł, czy się rozwiódł, czy też dotrwał późnych lat w jednym związku. Nie wydaje mi się to konieczne. Tych kilka zaprezentowanych wyżej informacji wystarczy, żeby zacząć pisać o rodzicach, zwłaszcza o ojcu. Życie rodziców jest swoistego rodzaju księgą, z której czytają dzieci.

Moi rodzice mieli zupełnie różne charaktery. Ona – wyjątkowej wrażliwości introwertyczka, on żył światem zewnętrznym, który – jak to często bywa u mężczyzn – traktował jako pole walki. Był typem wojownika, uważał, że nic nie jest w sposób prosty dane, wszystko trzeba wywalczyć i zdobyć. Oboje pracowali w szkole wykonując zawód nauczycielski. Mamie dzięki pomocy dziadka Kuklińskiego udało się znaleźć pracę w Ostrołęce, Ojciec przez długi czas miał z tym kłopoty. Dojeżdżał rowerem do pod ostrołęckich wiosek takich jak Bandysie, czy Lelis. Stabilizację zawodową osiągnął stosunkowo późno, dopiero wtedy, gdy ukończył w Krakowie studia historyczne. Zrobił to, można powiedzieć, nadludzkim wysiłkiem pokonując jak taran przeciwności losu. Przez kilka lat spędzał każde wakacje w Krakowie zdając egzaminy w tzw. sesji letniej. Kiedyś, gdy wyjechał, Andrzej bardzo ciężko zachorował. Mama wysłała do Krakowa telegram z informacją, że syn jest umierający. Zrozumiał, pewnie pospiesznie czytając, że zmarł i przyjechał zbolewały najszybciej jak mógł. Jakaż była jego radość, gdy dowiedział się że Andrzej jest tylko ciężko chory. Mama była troskliwa, nieraz za bardzo, lecz nie miała specjalnego talentu do gotowania. Jakaś zupa, ziemniaki i coś do nich. Gdy Andrzej szedł do wojska ugotowała mu bigos. Zdziwiłam się, gdyż nigdy czegoś takiego nie robiła. Mnie wtedy nie było, ale brat twierdzi, że bigos był wyśmienity i wspomina go do tej pory. Zapewnia również, że nikt tak jak Mama nie potrafił zrobić pierogów z kapustą, może tylko ja, gdyż podpatrzyłam jak je robiła. A procedura była prosta, zwłaszcza, gdy chodziło o ciasto, żadnych udoskonaleń tylko mąka, woda i odrobina soli. Mój mąż, który doskonale gotował, chciał kiedyś zrobić kotlety mielone. Mama kategorycznie odmówiła, tłumacząc, że kuchnia to nie miejsce dla „chłopa”. Jej mielone były jednak fatalne, według mnie, najgorsze w Ostrołęce. Dużo czytała, w domu był zawsze „Głos Nauczycielski”, „Przyjaciółka” i „Kulisy”. Bibliotekę ostrołęcką miała chyba przeczytaną w całości. Niektóre książki czytała po kilka razy. Kiedyś przyjechałam z Kielc i zastałam

ją śpiącą w fotelu z *Chłopami* Reymonta w rękę. Mówię – przecież to Mama dokładnie zna, a ona – tak, ale lubię sobie niektóre fragmenty odświeżyć. Potrafiła jeść obiad i czytać gazetę, albo książkę. Nie było to zachowanie wzorcowe, ale czuliśmy się z tym dobrze. Czasy stalinowskie odcisnęły na niej, zresztą, nie tylko na niej, trwały ślad. Starła się być jak najdalej od spraw ideologicznych, gdyż wiedziała, że partia wiele może, przede wszystkim może pozbawić pracy, na co, mając liczną rodzinę, nie mogła sobie pozwolić. Gdy w czasie stanu wojennego wysłałam do Ostrołęki list, w którym cenzura wycięła niebezpieczne, jak uznano, fragmenty, była bardzo niezadowolona. Uznała, że się niepotrzebnie narażam, chociaż nie było w liście żadnych treści antypaństwowych. Z pewnym lękiem zareagowała również, gdy siostra nazwała swojego psa – „Zyta”. Zwróciła uwagę, że tak ma na imię ważna pani minister, i może lepiej byłoby tak psa nie nazywać. Nawet w późnym wieku szybko się uczyła i przekonywała do spraw, które wcześniej ignorowała. Staś, zapalony kibic futbolu, nauczył Mamę (mającą już prawie dziewięćdziesiąt lat) oglądać mecze piłki nożnej. Robiła to z przyjemnością, a z komentarzy wynikało, że rozumiała co się dzieje na boisku. Oprócz chodzenia do Kościoła nic nam nie próbowała narzucić. Żadnych sztywnych norm, pełna swoboda. Miała swoje principia i pewnie chciała żeby dzieci je podzielały, lecz nie starała się nas jakoś wyraźnie formować. Nie narzucała swoich poglądów innym, ale też nie pozwoliła, by jej cokolwiek narzucić. Była osobą wewnątrz sterowną, gdy czegoś nie chciała nikt nie był w stanie ją do tego zmusić. Kiedyś siostra przywiozła z Grodziska Mazowieckiego, gdzie mieszkała, grzejnik olejowy do ogrzewania mieszkania i musiała go wziąć z powrotem, gdyż Mama powiedziała swoje stanowcze – nie. W kuchni stała stara, ponemiecka szafa. Zajmowała dużo miejsca i do niczego, tak naprawdę, nie była potrzebna. Używaliśmy różnych forteli, by ją wyrzucić i nic nie pomogło – stoi do tej pory. Właściwie niewiele mówiła o swoich dzieciach. Jedna z mieszkających na Łęczysku sąsiadek, gdy ją

spotkała, ciągle opowiadała o sukcesach córki, która była mniej więcej w moim wieku i studiowała w Białymstoku polonistykę. Mama tylko słuchała, potakiwała, nieraz coś odpowiedziała, ale, na zasadzie odbicia piłeczki, nie chwaliła się naszymi sukcesami, choć przecież miałyby co powiedzieć. Nie była zbyt wylewna, dopiero pod koniec życia, mieszkając u mnie, na warszawskiej Saskiej Kępie, powiedziała: „mam dobre dzieci”. Życie jakie jest, każdy widzi. Nic więc dziwnego, że co wrażliwsze osoby starają się zbudować świat wewnętrzny, równoległy do zewnętrznego i wpuszczają do niego tylko te emocje, które są im niezbędne dla zachowania równowagi. Tak właśnie postępowała moja Mama. Miała w sobie prawdziwą religijność, żadnej fasady, tylko własne przemyślenia i autentyzm. Nigdy nie używała zwrotu, „co ludzie powiedzą”, chyba ją to aż tak bardzo nie interesowało. Starła się żyć zgodnie z prawem boskim i bardzo przeżywała, gdy, z jakich powodów było to niemożliwe.

Wojna poczyniła wielkie spustoszenia w każdej polskiej rodzinie, także w naszej. Ojciec stracił wszystkich, rodzice zmarli, brat Feliks został zamordowany przez Niemców w Nakłach, inni bracia zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Próbował ich później odnaleźć przez Czerwony Krzyż, lecz bez powodzenia. W ten sposób stał się jedynym spadkobiercą majątku w Nakłach. W gruncie rzeczy było z tym wiele kłopotów, gdyż ziemia wymagała gospodarza na co dzień, ojciec natomiast studiował, pracował w szkole i zajmował się pracą społeczną. Do Nakleń wrócił będąc na emeryturze, próbował gospodarować, lecz to wymagało konkretnej fizycznej siły, której miał już coraz mniej. My natomiast tak ułożyliśmy sobie życie, że nikt nie zamierzał prowadzić gospodarstwa w Nakłach. Gdy Tata był już w zaawansowanym wieku i zaczęło mu trochę szwankować zdrowie, zasugerowałam mu przygotowanie do druku pracy magisterskiej *Udział Kurpiów w walkach narodowowyzwoleńczych w XIX wieku*. Pomyślałam, po co ma zadreć się, że życie jest marne i nic go już ciekawego nie czeka, niech lepiej czeka na książkę. Zaczęłam na ten temat rozmawiać z Ostrołęckim Towarzystwem Naukowym.

Otrzymałam wstępną zgodę, lecz próbowano się upewnić, czy to na pewno chodzi o pracę magisterską. Tytuł magistra nie robił w tym czasie żadnego wrażenia, należało być, co najmniej doktorem. Ostatecznie książka została wydana jesień 2004 roku, przyniosłam do domu dużą ilość egzemplarzy i wszystkie rozrzuciłam na tapczanie. To była fantastyczna chwila, Tata cieszył się jak dziecko, oglądał książkę ze wszystkich stron nie mogąc uwierzyć, że to jego. Na okładce umieszczone zostało zdjęcie i krótki tekst, który tu przytaczam: „Tadeusz Wiśniewski urodzony 27 lipca 1919 roku, pow. Ostrołęka. Historyk, absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Całe swoje życie zawodowe poświęcił nauczaniu oraz wychowaniu dzieci i młodzieży. Po wojnie pracował, jako nauczyciel w szkołach powiatu ostrołęckiego, następnie w Ostrołęce w Szkole Podstawowej nr 4 oraz w Zespole Szkół zawodowych nr 2 (obecnie im. 5 Pułku Ułanów Zasławskich). Związany z Ostrołęką oraz ziemią kurpiowską podejmował na jej rzecz szereg inicjatyw. Na początku lat sześćdziesiątych był organizatorem Muzeum w Ostrołęce i jego kierownikiem. Organizował wiele wystaw o tematyce regionalnej i rocznicowej oraz inicjował umieszczanie tablic poświęconych ważnym wydarzeniom historycznym”².

Gdy przechodzę przez Plac Bema, gdzie umieszczona jest jedna z takich tablic, niejako bezwiednie przypominam sobie wydarzenia, które towarzyszyły jej odsłonięciu, zwłaszcza zabieganego Ojca, który nerwowo palił papierosy (robił to bardzo rzadko) i zastanawiał się czy wszystko zostało „zapięte na ostatni guzik”. Na tego typu uroczystościach rodzina była w komplecie, chyba, że zatrzymywały nas jakieś ważne okoliczności. Nie dlatego, że aż tak bardzo chcieliśmy w nich uczestniczyć, lecz Ojciec wcześniej wysyłał informację: jeżeli nie przyjedziecie przestanę się do was odzywać. Na takie *dictum* mogła być tylko jedna reakcja – wszyscy byli obecni. Pomysł zorga-

² T. Wiśniewski, *Udział Kurpiów w walkach narodowowyzwoleńczych w XIX wieku*, OTN, Ostrołęka 2004.

nizowania Muzeum Historycznego Ziemi Kurpiowskiej w Ostrołęce pojawił się w głowie mojego Taty najprawdopodobniej pod koniec lat pięćdziesiątych. Pełnił wówczas funkcje społecznego opiekuna zabytków. Muzeum znajdowało się na Fortach Bema. Jego otwarcie miało miejsce 28 maja 1961 roku. W rodzinnym albumie znajduje się fotografia upamiętniająca ten fakt. Pożółkłe, już nieco zniszczone zdjęcie, na którym ówczesny przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej – Stanisław Maryniak – przecina wstęgę, obok stoi Ojciec, nieco dalej ksiądz. To był, przypominę, początek lat sześćdziesiątych, jak Ojcu udało się zorganizować uroczystość, gdzie obok przedstawicieli władz miasta byli również hierarchowie Kościoła, pozostanie jego tajemnicą. Prowadzono w tym czasie bezceremonialną walkę z Kościołem, w jej ramach zakazano między innymi religii w szkołach. Pamiętam, zorganizowano reprezentację dzieci, (w której i ja się znalazłam), by poszły do Wydziału Oświaty prosić o przywrócenie religii w szkole. Inspektor Frączak – zapamiętałam to nazwisko, gdyż często pojawiał się w prowadzonych przez rodziców rozmowach – popatrzył na nas dobrotliwie, poczęstował cukierkami i kazał iść do domu. Ale nie każdy w takiej sytuacji potraktowany byłby z dobrotliwym uśmiechem. Zachowania, które przeczyły oficjalnej linii partii mogły oznaczać tylko jedno – kłopoty. Mój Ojciec nie był członkiem PZPR, ale nie przeciwstawiał się partii, nie manifestował również jakoś szczególnie swojego katolicyzmu, postępował na własną rękę i to wystarczyło, żeby miał permanentne kłopoty. W muzeum zorganizowane na Fortach Bema włożył całe swoje serce i dużo pieniędzy. Prawdą jest, że udawało mu się znaleźć sponsorów – Fabrykę Celulozy i Papieru, ostrołęcką Elektrownię, lecz głównym sponsorem był on sam finansując prowadzone prace z własnych pieniędzy. W kolekcji mojego Ojca było wiele wartościowych eksponatów – żołnierskie mundury, pięknie inkrustowane szable, stare, nieraz unikatowe monety. Staś urządził kiedyś z kolegami zawody sportowe. Wziął ze zbiorów muzealnych dużą, masywną kulę z powstania listopadowego (oczywiście w tajemnicy przed rodzicami)

i rzucali nią, jak najdalej, przed siebie. To były bezcenne zbiory, z czego nie w pełni zdawaliśmy sobie sprawę. By je zaprezentować Tata zamówił u stolarza przeszklone gabloty, stoliki, dostosowane do eksponatów podstawki. Kupił kiedyś zielone, ładne chodniki. Cieszyłam się – akurat było to przed Wielkanocą, – że rozłożymy je na święta, lecz zostały wywiezione do muzeum, ponieważ tam okazały się bardziej potrzebne. Gdy Forty Bema były w ruinie i nic nie wskazywało, że pomysły Ojca przybiorą realny kształt, nikt się nim nie interesował i mógł robić swoje. Sytuacja zmieniła się, gdy Muzeum nie tylko zostało otwarte, ale zaczęło cieszyć się coraz większym zainteresowaniem ludzi. Ówczesne władze, zwłaszcza organizacja partyjna postanowiły je przejąć i uczynić własnością miasta. Rozmowom, które usiłowano z Ojcem w tej sprawie prowadzić nie towarzyszyła partnerska wymiana myśli, tylko presja i dyktat. Żaden z decydentów nie zaproponował np. jakiejś formy zabezpieczenia zabytków przed złodziejami, a on sam nie był w stanie skutecznie takiej ochrony zorganizować. Rozmawiano z pozycji siły, po prostu żądano, by oddał wszystko – klucze, pieczętkę oraz to, co najcenniejsze, czyli zbiory. Nic dziwnego, że nie powiedział: tak, oczywiście, z przyjemnością zrobię to, czego ode mnie żądacie. Czuł się niedoceniony, upokorzony i w pewnym sensie „zaszczuty”, czego nie mówił, lecz nie trudno było tego nie zauważyć.

Lucyna Wiśniewska-Rutkowska

Prof. dr hab. Lucyna Wiśniewska-Rutkowska – absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim oraz filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związana zawodowo z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach. W pracy badawczej koncentruje się na polskiej myśli filozoficzno-kulturologicznej i społecznej. Autorka prac: *Koncepcja człowieka w twórczości Karola Irzykowskiego* (2002), *Mesjanizm Jerzego Brauna. Myślenie w perspektywie Józefa M. Hoene-Wrońskiego* (2004), *Między przeszłością a teraźniejszością. Studia z pogranicza filozofii, polityki, sztuki* (2008), *Nie tylko o filozofii. Ludzie, idee, przemiany* (2010), *Dialog z tradycją – z dziejów polskiej myśli filozoficznej* (2014), *Myśli i czyny. Henryk Kamieński – filozof i polityk* (2017), *Zaczarowany rewolucją. Rzecz o Edwardzie Dembowskim* (2018), *Sprawy ważne i mniej ważne. Szkice i drobniejsze filozoficzne* (2019).

ZMIENIŁ MOJE ŻYCIE



Mam przed sobą pierwszy numer „Tygodnika Ostrołęckiego” z datą 17 października 1982 roku (który ukazał się kilka dni wcześniej, 14 października). Pożółkły papier gazetowy, pośledniej jakości, wyblakłe po latach kolory sepia budzą wciąż żywe wspomnienia. Ten dzień, w którym ukazała się pierwsza ostrołęcka gazeta stał się zapewne znaczący dla wielu jej przyszłych i wiernych przez dziesięciolecia Czytelników. Ale dla garstki osób, które doprowadziły do tego, by wczesnym rankiem znalazła się ona w kioskach był bardzo emocjonującym, nerwowym wręcz przeżyciem. Barbara Milewska-Foss, żona pierwszego redaktora naczelnego TO Juliusza Fossa wspominała często, jak to oboje tego ranka podążali od kiosku do kiosku, obserwując kupujących i podsłuchując ich komentarze. Ja tego dnia prawie traciłam oddech z emocji różnych. Wszak współtworzyłam w kilku głównych tekstach (m.in. wspomnieniu o prof. Janie Radomskim, twórcy podziemnego, wojennego, szkolnego „Golesina”) ten pierwszy numer z redaktorem Fossem, który bez ogródek mi oświadczył: ja firmuję nasz debiut swoim nazwiskiem, a ty jesteś od dostawiania w d... Szef, z zasady bardzo szarmancki, bywał czasem dosadny w słowach i szczery do bólu..., więc moje oczekiwanie na pierwszy numer gazety, z którą do dziś, po 37 latach nie mogę się rozstać, było dosyć bolesne. Na szczęście bezpodstawnie (bo debiut „Tygodnika” został przyjęty z życzliwym zainteresowaniem)..., choć przez kolejne dziesięciolecia nie raz zbierałam cięgi, także od czytelników.



1982 rok. Ślub Juliusza Fossa i Barbary Milewskiej. Przed „pałacem” przy dawnej ul. Gorbatowa, gdzie mieścił się Urząd Stanu Cywilnego. Fot. Jolanta Góralska

Namówił kolega, zmusił mąż

Popadłam w tę dziennikarską „dożywotnią przygodę” zupełnie nieoczekiwanie. Jakoś latem 1982 roku odwiedził mnie Józek Badecki, rówieśnik, z którym chadzaliśmy na obozy wędrowne organizowane przez mego tatę, Henryka Maćkowiaka, którego Józek swego czasu, w szkole średniej, był wychowankiem.

Józek opowiedział o planach tworzenia gazety. Miejscowej, wojewódzkiej, ponieważ od siedmiu lat Ostrołęka była jedną ze stolic 49 województw. I jedyną bez własnego wydawnictwa prasowego. W kioskach można było kupić „Sztandar Młodych” i „Nową Wieś” czy „Trybunę Mazowiecką” – ogólnopolskie gazety, wrywkowo jednak i nieczęsto penetrujące życie Ostrołęki i Kurpiowszczyzny. Gdzieś się więc ocknęły wreszcie lokalne ambicje, a może ulotniły urzędnicze lęki i błysnęło ostatnie zielone światło dla tygodnika województwa ostrołęckiego. Tygodnika PZPR (takie były wówczas

wszystkie pisma wojewódzkie w Polsce) – co przez pierwszą dekadę było zaznaczane w redakcyjnej stopce i na okładce.

Józek kusił, żebym się podłączyła pod ten pomysł, zapewniając, że mój brak przynależności do partii nie jest przeszkodą. Pamiętam, pokusa była tyleż silna co przerażająca. Byłam wówczas, po ukończeniu filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim w 1977 roku, nauczycielką języka polskiego (i rosyjskiego – język ten miałam tak znakomicie opanowany dzięki prof. Marii Gumkowskiej w LO im. gen. J. Bema, że na studiach zwolniono mnie z lektoratu), w Zespole Szkół nr 1 w Ostrołęce, czyli w „elektryczniaku”. Doprowadzałam właśnie do matury dwie klasy. Mój dyrektor, mądry i zacny Ryszard Mostył nie był zachwycony nieśmiałym anonsem, że chciałabym opuścić szkołę w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego, ale jednocześnie rozumiał moje młode pragnienie szukania siebie i przygody. Bo sama sobie wmawiałam, że to przygoda tylko, próba sił. Swoim uczniom też obiecałam, że wrócę, że to tylko taki mały „skok w bok” od szkoły. Ale odwrotu z takiej przygody, jak się okazało, raczej nie ma...

W sierpniu jakoś, Józek Badecki wyrwał mnie z domowej krzątaniny: masz spotkanie z przyszłym naczelnym, u mnie w domu – zapowiedział. Mieszkaliśmy na tej samej ulicy, na Osiedlu Sienkiewicza. Wieczorem więc wystroiłam się nieco i poleciałam do niego. Tam Józek przedstawił mnie przyszłemu szefowi. Przywitałam się ze starszym ode mnie szczupłym, eleganckim, nieostrołęcką elegancją, mężczyzną. W towarzystwie też szczupłej blondynki (mniej więcej w moim wieku) w białej bluzce z kokardą pod brodą. Późniejsi państwo Fossowie. Juliusz i Barbara. Nie pamiętam dokładnie, jak przebiegała rozmowa, ale chyba mnie trochę zdeprymowała, albo wręcz przerażyła, bo po powrocie do domu zdecydowałam się jednak pozostać w szkole, choć obiecałam Juliuszowi Fossowi kolejne spotkanie i dwa próbne teksty.

I tu nieoczekiwanie wkroczył mąż mój, Tadeusz. Zdecydowanie i kategorycznie, choć mieliśmy wtedy dwie małe córki, oświadczył:

jak nie podejmiesz tego wyzwania, nie masz odwagi chwycić szansy, nie chcę Cię znać. Zartował oczywiście, pompując we mnie jednocześnie poczucie własnej wartości. I tak mnie wepchnął, prawie szantażem, w tę dziennikarską życiową podróż, choć nie wiem, czy nie pluł sobie potem po wielokroć w brodę. Bo różne reperkusje z powodu tej decyzji musi dźwigać... do dziś. Ale za ten doping sprzed lat jestem mu wdzięczna.

Początki na Berka Joselewicza

Tam właśnie, w cudownym zaciszu (wówczas), tuż przy zielonym skwerku, Placu Bema i nad rzeką prawie, mieliśmy pierwsze redakcyjne lokum. Trzy maleńkie pokoje. Tonące w sinym dymie, bo wszyscy prawie wtedy ciągnęli jakieś „Caro”, „Carmeny” albo „Yugo”(to ja). Najmniejszy pokój zajmował redaktor naczelny. Nawet biurka w nim nie było, tylko dwa fotele przy stoliku. W jednym z nich Juliusz Foss prawie bez przerwy z papierosem lub fajką adiustujący teksty czy tworzący „szpigle” – informacje techniczne dla drukarni. W nieco większym pokoju miała biurko Krysia Jarząbkowa, która była chyba kierownikiem administracji, główną księgową oraz pośrednikiem z Krajowym Wydawnictwem Czasopism, w którym wychodził wówczas nasz tygodnik. Ona też później, zdaje się, nadzorowała adaptację na nową siedzibę TO budynku przy ul. Goworowskiej.

W trzecim pokoju pracowały: sekretarka redakcji, przez wiele, wiele lat asystentka kolejnych redaktorów naczelnych – Iwonka Balcerzak i maszynistki, przepisujące rękopisy – tak tak, to był czas rękopisów jeszcze – na elektrycznych maszynach: Basia Płodziszewska (z TO wytrzymała do emerytury) i Ela Rogalska. Iwona i Basia miały już redakcyjne doświadczenie, pracowały wcześniej w „Trybunie Mazowieckiej”, Elę, jak sama wspomina, redaktor Foss „wyrwał” z sekretariatu jednego z ostrołęckich banków.

Maszynistki przepisywały też moje pierwsze rękopisy. Niedługo potem, na szczęście, dostałam maszynę do pisania marki Erica. Zanim nauczyłam się na niej pisać, teksty przepisywał mi mój mąż (to jedna ze wspomnianych wyżej reperkusji). Ale maszynistki jeszcze wiele lat męczyły się z rękopisami współpracowników, bardzo licznych w tamtym czasie. A i maszynopisy dziennikarzy po adiustacjach też musiały przepisywać.

W poniedziałki spotykaliśmy się na redakcyjnych kolegiach: redaktor Juliusz Foss, Barbara Milewska (chwile później wieloletnia sekretarz redakcji, a znacznie później, na krótko, w 2006 roku, naczelna TO), Józek Badecki, Mietek Bubrzycki (też przez jakiś czas pełnił obowiązki sekretarza redakcji, potem zastępcy sekretarza), Maria Kaczyńska, Wojtek Woźniak (był również krótko sekretarzem redakcji), Irena Machnowska, Marek Ołdakowski, Kazimierz Nowak (od 1985 roku zastępca redaktora naczelnego). Czasami w kolegiach uczestniczyli fotoreporterzy – Wiktor Kujalowicz i Jola Góralska (wtedy jeszcze Szybka). Leszek Sokoll – grafik. Odbywało się planowanie numeru, bo nie zawsze jednak można było to nazwać „burzą mózgow”. „Burze” takie częściej może odbywały się w pobliskiej kawiarni „Na Skarpie” (dzisiaj lokal zajęty na biura urzędu miasta), gdzie nasz Szef (bo tak wszyscy o Juliuszu Fossie mówiliśmy i myśleliśmy) zapraszał nas na indywidualne rozmowy przy kawie. Czasami przy kawie z „prądem”, czyli łykiem koniaku w filizance. Tam się nieraz dostawało po głowie, ale częściej były to inspirujące poszukiwania tematów. I rozmowy o różnych sprawach.

Zdobywanie szlifów

Juliusz Foss był dla mnie niewątpliwie dziennikarskim mentorem. Nic przecież wtedy nie wiedziałam o tej trudnej profesji. Przyszłam do redakcji ze znajomością literatury w głowie, chłonnością kultury. I społeczną wrażliwością. To na pewno. O warszta-

cie dziennikarskim nie miałam jednak specjalnie pojęcia, choć jak Szeﬀ – doświadczony dziennikarz i reportażysta – ocenił na wstępie „pióro miałam lekkie”, rokowałam więc nadzieję.

Pamiętam pierwszą wyprawę „szkoleniową” z Juliuszem Fossem do starej kuźni pod Przasnyszem, w której z dziada pradziada przekazywano kowalskie tradycje i talenty. Szeﬀ rozmawiał z kowalem. Ja miałam słuchać i zapamiętać. Nie wolno mi było notować. Miałam spisać tę rozmowę dopiero po spotkaniu. Dyktafon trzeba mieć w głowie – obwieścił Szeﬀ, i komputer – dodał, choć wtedy prawie nie znałam tego słowa. To były moje pierwsze warsztaty dziennikarskie. Długo trzymałam się tej metody. Leszek Przywojski, kolega, kierowca, z którym wiele lat później często jeździłam w teren, nawet kiedyś mnie spytał, dlaczego robię notatki dopiero w samochodzie, po spotkaniu. Bo tak mnie nauczono, bo tak bardziej się koncentrowało na samej rozmowie i rozmówcy, bo w ten sposób głowa lepiej pracowała. Po latach nastały jednak dyktafony... (zaopatrzyłam się w te sprytne miniaturowe maszynki podczas wakacji w Nowym Jorku w 1990 roku, podobnie jak w dwa aparaty fotograficzne marki Olympus – bo służbowego sprzętu tego typu chyba jeszcze za wiele nie mieliśmy).

W tym pierwszym czasie podpatrywałam także w reportażu Marysię Kaczyńską, która miała już kilkuletni staż dziennikarski. I świetne pióro oraz dar wnikliwej obserwacji (nie zapomnę jednej wspólnej akcji reportażowej z Marią, na której niejaki Jędrzejczyk z głębokiej Kurpiowszczyzny po polu nas z kłonicą gonił).

Wielkim autorytetem był dla mnie Wojtek Woźniak – erudyta, poeta, świetny felietonista (notabene mój nauczyciel w ostatniej klasie liceum). Próbowałam uczyć się od niego sztuki felietonowej, do czego bardzo mnie zachęcał, ale jednak ta forma dziennikarska, choć bardzo ją cenię, nigdy nie stała się moją domeną. Acz przez dłuższy czas, jako kierownik działu kulturalno-oświatowego, prowadziłam rubrykę felietonową, na zmianę z Wojtkiem. Od początku bliższy był mi jednak reportaż – bardziej dynamiczny, różnorodny

w formie i bliższy ludzi, więc w tym gatunku, zwłaszcza w późniejszych latach specjalizowałam się (m.in. z pomocą Marka Millera, znanego reportażysty, na którego seminarium dziennikarskie w Warszawie przez dłuższy czas uczęszczałam). Mimo to, za namową Wojtka, już po jego odejściu z redakcji TO, na łamach pisma literackiego „Pracownia”, które założył, raz czy dwa odezwałam się felietonowo. Śmierć Wojtka i jego żony, Zosi w wypadku samochodowym na trasie Olsztyn–Ostrołęka była dla mnie strasznym przeżyciem. Odprowadzałam ich w ostatnią drogę na cmentarz w Strzegowie koło Glinojocka (rodzinna parafia Zosi), we wrześniu 2003 roku, wraz z wieloma przyjaciółmi z Ostrołęki i nie tylko.

Lubiłam czytać felietony Mietka Bubrzyckiego „Takie życie” i „Na marginesie”, śledzące codzienność „na gorąco” i jego późniejsze sądowe obrazki „Z wokandy”. Z Mietkiem zresztą dziesięciolecia spędziliśmy obok siebie przy biurkach, mimo rozbieżności światopoglądowych i politycznych „różniąc się pięknie”, czyli po prostu szanując odrębne wybory. I w obecnej redakcji tworzymy wspólny kącik „dinozaurów” – tyle, że ja już jako emerytka, na umowie o współpracy, a Mietek jeszcze jako czynny dziennikarz. I bardzo płodny (twórczo), trzeba dodać, jak zawsze. Bo to on zazwyczaj zapelniał najwięcej tygodnikowych kolumn.

Lubiłam też czytać, w tych pierwszych numerach, reportaże historyczne i społeczne Józka Badeckiego i teksty muzyczne Marka Ołdakowskiego, którymi wabił młodych ludzi do naszego Tygodnika.

Przeglądam roczniki z tej pierwszej dekady, oprawione w dosyć opasłe tomy, gromadzone w redakcyjnym archiwum. Jednak widać na łamach ślady politycznego oddechu. Znacznie więcej, niż w późniejszych latach, jest tekstów i tematów zgodnych „z wytycznymi” założycielskiego organu. Chociaż nie pamiętam jakichkolwiek bezpośrednich politycznych presji, inni koledzy może też nie – „coraz bardziej otaczająca nas rzeczywistość”, jak mawiał mistrz Młynarski, sama narzucała pewne reguły.



1984 rok. Część zespołu redakcyjnego w siedzibie przy ul. Berka Joselewicza. Od lewej stoją: Wojtek Woźniak, Barbara Płodziszewska, Kazimierz Nowak, Barbara Foss, Irena Machnowska, Leszek Sokoll, Wiesława Grzybicka. Siedzą od lewej: Sławomir Olzacki, Elżbieta Rogalska, Marek Ołdakowski, Mieczysław Bubrzycki

Miałam oczywiście, jakoś na początku zapewne, rozmowę w KW PZPR. Jak my wszyscy – w końcu był to nasz „mocodawca”. Główne pytanie brzmiało, dlaczego nie chcę się zapisać do partii. Odpowiedziałam tak, jak wcześniej redaktorowi Fossowi, który też mi je postawił: że według mnie każda forma organizacyjna wypacza zawsze nawet najpiękniejszą ideę. Z tego samego powodu, ale nie tylko z tego, bo patrzyłam także na to, kto się tam zapisał, nie zapisałam się, pracując w szkole, do nauczycielskiej „Solidarności”, aczkolwiek idee solidarnościowe w pełni popierałam. Z tego też powodu nie przynależę do żadnego Kościoła. Była to moja pierwsza i ostatnia rozmowa w KW PZPR.

Ale redaktorzy naczelni, jak sądzę, tkwili jednak pod pewnym prężerzem. Chociaż przez pierwsze cztery lata, za redaktora Juliusza Fossa ideologia była równoważoną problematyką kulturalną, społeczną i historyczną. Jednakże w 1986 roku, roku X Zjazdu

PZPR akcenty polityczne i partyjne znacznie się nasiliły. Przybyło też na łamach autorów związanych z naszym „organem założycielskim”.

Po latach tygodnik ewaluował w zupełnie innym kierunku, bardziej społecznym, może bardziej zgodnym z oczekiwaniami czytelników, a jeszcze później w coraz bardziej komercyjnym, też wyznaczonym przez gusta czytelnicze oraz oczekiwania kolejnych, komercyjnych, zagranicznych właścicieli „Tygodnika Ostrołęckiego”.

W tym pierwszym okresie jednak do nowo powstałej gazety, w sposób naturalny garnęli się przede wszystkim lokalni pisarze, poeci, regionaliści. Na łamach „Tygodnika Ostrołęckiego” zatem przez wiele lat gościło wielu współpracowników – że wspomnę (żyjących i nieżyjących): przede wszystkim członków Klubu Literackiego „Narew”, którzy od lat zabiegali o powstanie lokalnego czasopisma – Dionizego Maliszewskiego, Edwarda Kupiszewskiego, Alfreda Sierzputowskiego, Czesława Parzycha (współpracował sporadycznie z redakcją do ubiegłego roku), Tadeusza Machnowskiego, Irenę Machnowską (przez lata prowadziła autorskie rubryki); historyków – regionalistów: Jerzego Dziewirskiego, Jerzego Kijowskiego, Henryka Maćkowiaka, Stanisława Pajkę, Leopolda Szwedowskiego (mistrza szachowego, który dwadzieścia lat z górą rozwijał „Tajemnice myślenia”), Józefa Bułatowicza – poetę i fraszkopisarza z Wyszkowa, Kazimierza Drwęckiego z Przasnysza, Józefa Szydlika z Tłuszcza. I wielu, wielu innych, także znanych warszawskich dziennikarzy i literatów, którzy „okupowali” nasze łamy. Dla obopólnej, jak sadzę korzyści. Ci autorzy nobilitowali pismo, tygodnik promował ich twórczość. Czytelnicy zaś zyskiwali bogatsze treści i szersze horyzonty. Pamiętam ile wrzawy, w czwartym, bodajże numerze TO wywołał „erotyczny” fragment powieści Edwarda Kupiszewskiego *Pokochać w sierpniu*. Pamiętam też jego wzruszające późniejsze felietony *Listy do ojca* i *Listy do córki*. Interesująco o historii regionalnej pisuje do dziś od czasu do czasu Jerzy Kijowski. Fraszkami „ubarwiał” łamy Fredk Sierzputowski.

W teren pociągiem, autobusem, traktorem, furmanką

Trudno porównać ten czas pod względem technicznego warsztatu dziennikarskiego i możliwości mobilnych do obecnych uwarunkowań.

W 1982 roku nawet kontakty telefoniczne były mocno utrudnione, ze względu nie tylko na niewydolności komunikacyjne ale i restrykcje stanu wojennego w pierwszych dwóch latach. Pamiętam ten ogólnodostępny telefon w redakcji, zamawianie rozmowy przez jakieś centrale, oczekiwanie na połączenie, „rozmowy kontrolowane”. Ja w ogóle nie miałam telefonu domowego. Za nic nie mogłam przekonać ówczesnego dyrektora ostrołęckiej telekomunikacji, że jest to moje podstawowe narzędzie pracy, mimo że wydeptałam ścieżki z prośbami.

Ciekawe też były podróże w teren. W redakcji był jeden samochód służbowy, Fiat 125p. A w nim – kierowca, Zdzisław Szkudlarek. Zdzisio, bardzo sympatyczny zresztą kolega, czuł się jednak przede wszystkim bardzo ważnym kierowcą Szefa. Nie było więc mowy, żeby z nami, zwykłymi wyrobnikami redakcyjnymi, w teren się ruszał. Jego głównym zadaniem było zresztą wożenie materiałów, czyli makiet gazety do Warszawy, a potem klisz do drukarni w Ciechanowie. Bo proces drukarski przecież też nie odbywał się, jak dzisiaj, elektroniczną drogą. Gazetę trzeba było w redakcji „złożyć” kilka dni przed drukiem, więc o newsach w dzisiejszym znaczeniu trudno było mówić, chociaż jakieś strony na gorące wiadomości z ostatniej chwili były zawsze zarezerwowane. No więc na redakcyjnego fiata i usługę Zdzisława tylko w wyjątkowych okolicznościach można było liczyć. Jeździliśmy z nim za to do drukarni, na dyżury – przede wszystkim sekretarze redakcji, ale także dziennikarze od czasu do czasu, żeby poznać kulisy wydawania gazety.

W terenowej robocie zdani więc byliśmy na różne środki lokomocji. W tym czasie, to znaczy na samym początku istnienia redakcji, chyba tylko Józek Badecki miał białego „malucha”, a ja

czerwonego Fiata 127. Reszta kolegów była niezmotoryzowana. Chyba przy tym musiał być jakiś problem z delegacjami samochodowymi, bo pamiętam, że jeździłam w teren głównie państwowymi środkami lokomocji i... auto-stopem. Do Tłuszcza, gdzie sięgał wtedy nasz tygodnik najlepiej jeździło się pociągiem, czasami o zupełnie nieprzyzwoitych porach i strasznie długo. Po drodze był Wyszków, Klembów, Somianka i parę innych miejscowości, do których też trzeba było dotrzeć.

Podobnie było w przeciwnym kierunku, do Ostrowi Mazowieckiej i Małkini. Pamiętam jedną z takich podróży, zimą do Małkini. Umówiona byłam z emerytowaną, zasłużoną nauczycielką, panią Janiną Samochwałową. Pociąg był jakoś bardzo wczesnym rankiem. Mróz siarczysty, nie to, co dzisiaj, kiedy portale internetowe ostrzegają przed kilkustopniowymi przymrozkami. Dzięki temu nigdy nie zapomnę rozgrzewającego śniadania u przesympatycznej pani Janiny – gorącej herbaty różanej i fantastycznych, odgrzewanych naleśników. No i potem, oczywiście, wspaniałej z Nią rozmowy.

W tamtych kierunkach było łatwiej, bo kolej, autobusy. Trudniej było się dostać na Kurpie Zielone. Nawet jak się dojechało gdzieś autobusem do Kadzidła, Myszyńca czy Rozóg, dalsze peregrynacje były nieraz dramatyczne. Pamiętam powroty traktorem, do większej drogi, a stamtąd okazjami, w tym także ciężarówkami, do Ostrołęki. Nauczyłam się wtedy jeździć stopem, choć ominęło mnie to w studenckich czasach. I wyobraźcie sobie!, nie było wtedy telefonów komórkowych, kontaktu z kimkolwiek w dowolnej chwili. Myślę, że każdemu z moich obecnych, młodych kolegów redakcyjnych takie warunki pracy mogłyby się zdarzyć wyłącznie jako koszmar senny.

Ładowanie akumulatorów

To pierwsze dziesięciolecie dla mnie osobiście było jednak wspaniałą szansą na wewnętrzny rozwój. Ponieważ zostałam kie-

rownikiem działu kultury i oświaty w gazecie, uczestniczyłam we wszelkich lokalnych imprezach kulturalnych. Pamiętam wspaniałe finały Ogólnopolskich Konkursów Recytatorskich, organizowanych w Ostrołęce jeszcze przez Wojewódzki Dom Kultury, potem pierwsze OSPY – jakże inne od dzisiejszych, także przez WOK organizowane Kurpiowskie Dni Literatury – gdzie zjeżdżali się „ziomkowie literaci” z całej Polski, czy Dni Folkloru Kurpiowskiego. Pamiętam stałą, efektywną współpracę z ówczesną dyrektorką Muzeum Okręgowego, Jadwigą Nowicką czy Kazimierzem Parszewskim i Teresą Rybaczykową – dyrektorami wydziału kultury i sztuki w ostrołęckim Urzędzie Wojewódzkim, z Tomaszem Łaczyńskim – dyrektorem WOK, z „kinowcami” – Basią Cichoń i Ryszardem Zaborowskim, z Krystyną Sołtan – dyrektorką Ostrołęckiego Centrum Kultury oraz z innymi włodarzami życia kulturalnego w województwie ostrołęckim. A przede wszystkim z jego wszelkimi współtwórcami, na każdym poletku.

Jednocześnie byłam „skazana” na różne, prowadzone wówczas intensywnie przez wydawnictwo nasze oraz Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL szkolenia, kursy, warsztaty dziennikarskie. Dla mnie, po warszawskich studiach, były to pierwsze edukacyjne wyprawy w świat, poza Ostrołękę, niedalekie wprawdzie – bo do Warszawy, Łodzi, Lublina, Gdańska, Szczecina czy wszędzie tam gdzie organizowano dziennikarskie seminaria. Ale były to przede wszystkim dalekie wypady mentalne – na spotkania z dziennikarzami z dużych gazet, ze znakomitymi publicystami, ludźmi kultury, sztuki.

Chociaż pierwsze moje doświadczenie w tym względzie było wręcz traumatyczne. Redaktor Foss w marcu 1984 wysłał mnie na rozmowę z Wojciechem Żukrowskim – wiadomo, pisarzem, autorem m.in. *Kamiennych tablic*, *Skąpanych w ogniu* i wojennych opowiadań. Mieliśmy rozmawiać o jego wspomnieniach z obrony Różana w 1939 roku (został wtedy ranny), utrwalonych m.in. w *Lotnej* (takie opowiadanie było wówczas w szkolnych lekturach obowiązkowych.) Pamiętam, na ul. Karową w Warszawie, gdzie mieszkał, poszłam z różami, gotowa do rozmowy



1984 rok. Aldona Rusinek jako kierownik działu publicystyki kulturalnej

z uznanym pisarzem. Rozmowy o II wojnie światowej, na którą się przygotowałam. A pisarz na wstępie mnie zahaczył o *Miazgę* Jerzego Andrzejewskiego. Książka ta dwa czy trzy lata wcześniej ukazała się w oficjalnym obiegu (bo w 1979 roku była wydana w tzw. obiegu podziemnym i w ogóle jej losy wydawnicze były skomplikowane dosyć). W każdym razie nadal było o niej głośno, jako o książce rozliczeniowej, kontrowersyjnej, odważnej. Mówiło się o Andrzejewskim po prostu. Więc też wyznałam, że to dla mnie ważne wydarzenie literackie. I to był błąd. Bo mój adwersarz napadł na mnie: odsądził od czci nasz naród, stwierdził, że w społeczeństwie rośnie poziom imbecylności, czego dowodem są niedawne społeczne nastroje, które doprowadziły do stanu wojennego. Przepowiedział krach naszej kulturze, którą tworzą hochsztaplerzy (vide: Miłosz),

psychopaci (Parnicki, Buczkowski), kretyni (Andrzejewski), magicy od parasolek, co wystawiają głupoty (Kantor, Grotowski). Cytuję tu Zukrowskiego. Byłam sztywna z oburzenia, ale nie czułam się na siłach, dziennikarska smarkula, by podjąć polemikę. To było dla mnie naprawdę szokujące przeżycie (o czym wiem, bo mam to dokładnie opisane w osobistym pamiętniku, który prowadziłam od 1968 roku). Żadnego dalszego wywiadu nie było, bo wielki pisarz się wkurzył na moją sympatię dla – jak się okazało swego największego wówczas antagonisty. O Żukrowskim bowiem w tym czasie też było głośno, ale jako o apologetcie stanu wojennego i gen. Jaruzelskiego. W środowiskach warszawskiej solidarnościowej inteligencji organizowano akcje protestacyjne, zwracając mu pod drzwi jego książki. Reperkusja tego spotkania była we mnie taka, że przez lata każdy wywiad z bardziej znaną osobą (a zdarzało mi się to dosyć często) opłacałam ogromnym stresem, powodowanym poczuciem tej pierwszej porażki. Pamiętam, jak niedługo potem przeżywałam wywiad z ministrem kultury, Aleksandrem Krawczukiem czy prof. Marią Szyszkowską – co jednakże okazało się już bardzo miłymi, budującymi doświadczeniami. Krok po kroku, choć mozolne to było, spotkania z różnymi ludźmi łagodziły jednak kompleksy, wyzwalały odwagę, nieco inny sposób myślenia. Rozmowy, dyskusje ze wspaniałymi, bardziej doświadczonymi dziennikarzami naprawdę potrafiły inspirować. W 1986 chyba roku zapisałam się do Klubu Krytyki Filmowej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy PRL, widząc w tym szansę na dalszy, interesujący rozwój. Miałam rację. Dzięki temu mogłam uczestniczyć w festiwalach filmowych – w Gdyni, Łagowie, Łodzi, Koszalinie. Miałam szansę zrobić rozmowę z Andrzejem Wajdą na planie *Pana Tadeusza* (choć to oczywiście znacznie później, ale dzięki przynależności do KKF), z Michaliną Wisłocką, którą poznałam na świetnym festiwalu filmowym w Łagowie (moja rozmowa z nią o seksie w 1987 roku zapewniła mi sympatię, np... ostrołęckich policjantów, którzy darowali mi mandat z tego powodu), z Grzegorzem Królikiewiczem, Robertem Glińskim,



1987 rok. Spotkanie w domu Marianny Olendrowej w Serafinie z zespołem ludowym działającym przy ówczesnym KGW, któremu przewodziła Maria Bałdygowa.

Aldona Rusinek (pierwsza z prawej) przebrana przez Kurpianki w strój ludowy.

Fot. Jacek Pędzich

Ewą Borzęcką – wywodzącą się z Ostrołęki reżyserką świetnych filmów dokumentalnych; znanymi aktorami – Januszem Gajosem, Stanisławą Celińską czy innymi. Ale także np. w Łagowie między festiwalowymi atrakcjami świetnie się gadało z Adamem Kamieniem, młodym wówczas aktorem wywodzącym się z Ostrołęki, wcześniej zauważalnym uczestnikiem Ogólnopolskich Konkursów Recytatorskich, które Ostrołęka w owych czasach miała zaszczyt być gospodarzem. A Adam potem zagrał naprawdę dobrze główną rolę w filmie wojennym *Kornblunemblau* Leszka Wosiewicza (1988 rok, nagroda na międzynarodowym festiwalu w Locarno).

Przynależność do KKF umożliwiła mi także wspaniałą wycieczkę, w 1989 roku chyba, z filmowcami, krytykami filmowymi i „przodującymi” kierownikami kina do Moskwy i Leningradu, gdzie – poza czysto turystycznymi aspektami – w programie było wiele spotkań z przedstawicielami filmu, ówczynie jeszcze oficjalnie



1987 rok. Wywiad ze Stanisławem Sierutą, wspaniałym kurpiowskim pieśniarzem podczas Dni Folkloru Kurpiowskiego w Ostrołęce. Fot. Archiwum

radzieckiego, z których jednak np. Eldar Riazanow – z *Zapomnianą melodią na flet* i *Dworcem dla dwojga* jest do dzisiaj jednym z moich najbardziej ulubionych twórców kina.

Przez parę jeszcze lat uczestniczyłam dziennikarsko w ogólnopolskim życiu kulturalnym, jako reprezentantka „Tygodnika Ostrołęckiego”. Póki nie pojawił się internet. I komercja na każdym kroku.

Pożegnanie z redaktorem Fossem

Pierwszy przełom w TO nastąpił w marcu 1986 roku. W 11. numerze, wydanym z datą 16 marca zabrakło cotygodniowego

komentarza Juliusza Fossa. Pojawił się zamiast tego tekst sekretarza komitetu wojewódzkiego, płk. Zdzisława Matuszewskiego dotyczący X Zjazdu PZPR, do którego kraj cały się mobilizował. W stopce redakcyjnej tego numeru Juliusz Foss nie był też już wymieniony jako redaktor naczelny. W trzech następnych numerach zamiast nazwiska naszego dotychczasowego Szefa w stopce widniała biała plama. Potem i ona ze stopki zniknęła. A 13 lipca, w 28. numerze przy funkcji redaktora naczelnego pojawiło się nowe nazwisko: Danuta Duchnowicz-Salicka. Do tego czasu gazetę prowadził Kazimierz Nowak, zastępca redaktora Fossa od 1985 roku, który pozostał dalej zastępcą nowej naczelnej.

Nie znam powodów odwołania ze stanowiska redaktora naczelnego Juliusza Fossa. Nigdy nie byłam blisko kierownictwa redakcji, a tym bardziej innych znaczących kręgów kierowniczych. Pewnych przyczyn mogłam się ewentualnie dopatrywać, czytając „między wierszami” choćby dwa ostatnie „wstępniaki” Juliusza Fossa. W kontekście atmosfery przed X Zjazdem PZPR meandry myślowe naszego Szefa wydawały się dosyć odległe od ówczesnej linii politycznej. Do tego dochodziły, zdaje się, animozje między I sekretarzem KW PZPR w Ostrołęce, Henrykiem Szablakiem. W każdym razie byliśmy zszokowani faktem odwołania Juliusza Fossa. A nową redaktor naczelną, po kilku miesiącach, witaliśmy z dużą rezerwą, choć, pamiętam dokładała starań, by przełamywać lody. Jednak atmosfera w redakcji jakoś się odmieniła. Dostaliśmy też w 1987 roku nowego sekretarza redakcji w osobie Antoniego Kustusza (piastował tę funkcję do 1995 roku), który – mam takie wrażenie, ale może kiepsko pamiętam, stanowił rodzaj buforu między zespołem redakcyjnym a nową naczelną. Bo on akurat od razu „wtopił się” w naszą niewielką grupę – otwartym sposobem bycia, koleżeńską życzliwością, poczuciem humoru. A także profesjonalnym stosunkiem do dziennikarstwa, które też było jego pasją.

Na początku 1987 roku przeprowadziliśmy się do nowego budynku przy ul. Goworowskiej. Już bez redaktora Fossa, niestety.



1988 rok. Kaługa. Autorka tekstu (w środku) rosyjskimi dziennikarzami. Obok, pierwszy od lewej redaktor naczelny kałużskiej gazety, zastrzelony niedługo potem w redakcji. Fot. Sasza Paszyn

Pracował wtedy w Warszawie. Rok później 30 sierpnia, zmarł na zawał wracając autobusem z Warszawy do Ostrołęki. W nowej redakcji były znacznie lepsze warunki w porównaniu do ciasnoty w dotychczasowej siedzibie. Rozrosło się biuro ogłoszeń, księgowość. Bo i gazeta się pomyślnie rozrastała.

Z tego okresu utkwiły mi w pamięci redakcyjne kontakty z dziennikarzami z Kaługi na Ukrainie. Dziennikarze stamtąd odwiedzili nas w czerwcu, chyba 1987 roku. Pamiętam, że pokazywa-
liśmy im, m.in. procesję Bożego Ciała w Myszyncu, nie tyle może ze względu na jej religijny, co przepiękny, barwny, ludowy charakter.

Potem z rewizytą do Kaługi oddelegowano mnie (wcześniej byli tam już Józek Badecki i Marek Ołdakowski). Zwiedziłam ich redakcję, rozmawiając o warunkach i możliwościach pracy. Potem pytali, co chciałabym jeszcze zobaczyć? Powiedziałam że Zagorsk (taka prawosławna Częstochowa pod Moskwą) i obóz w Ostaszkowie. Na Zagorsk była zgoda, o Ostaszkowie nie mogło być mowy.

No więc zwiedziłam Zagorsk i Moskwę, a potem była wycieczka na Ural, gdzie Europa graniczy z Azją. Przepiękny wypoczynek, w którym towarzyszyła mi dziennikarka z Kaługi, Kapalina. Kore-spondowałyśmy serdecznie przez jakiś czas. Niedługo potem Kapalina przysłała mi wiadomość, że jej szefa, którego gościliśmy w Ostrołęce zastrzelono w redakcyjnym gabinecie. Podobno naraził się mafii, która zaczęła rozkwitać w czasie tamtejszej transformacji ustrojowej.

A tuż potem w naszej redakcji zmieniło się kierownictwo. Po 1989 roku znów wiatr odnowy wiał. Nabraliśmy więc go w żagle gdzieś w 1990 roku i wystosowaliśmy, jako załoga TO jednogłośnie wotum nieufności wobec Danuty Duchnowicz-Salickiej. Przez jakiś czas funkcję naczelnego TO pełnił jej zastępca, Krzysztof Szeląg. A potem udało się przekształcić redakcję w spółdzielnię redakcyjną – o czym jednak mogą opowiadać już inni koledzy, bo mnie przy takich formalnych zmianach nie było.

Tak trudno się rozstać

Z „moim” tygodnikiem trwam do dzisiaj – od 37 lat, choć ostatnio niejako na pół gwizdka, na umowie o współpracę, bo od 2014 roku jestem na emeryturze. Nie muszę do zusowskiego świadczenia dorabiać – dzięki prosperowaniu niegdysiejszej spółdzielni dziennikarskiej, jest ono godziwe. Trudno mi jednak rozstać się z redakcją, w której spędziłam dwie trzecie swego życia. W dodatku tworzą tu wspaniałą atmosferę młodszy koledzy, którzy muszą funkcjonować w zupełnie innych warunkach i tempie niż mnie to było dane w tym pierwszym dziesięcioleciu. O którym opowiadamy sobie czasem sentymentalnie z Mietkiem Bubrzyckim, siedząc wciąż, od wielu lat, jak już nieco wcześniej wspomniałam, przy wspólnym biurku. A obecna redaktor naczelna, Beata Modzelewska, podsłuchując nas od czasu do czasu mimowolnie jednym uchem (bo siedzi przy sąsiednim biurku) mawia: „jak ja uwielbiam te wasze gaduły”.



1988 rok. Festiwal Filmów Fabularnych w Gdyni. W środku Adam Kamień i Aldona Rusinek. Fot. Archiwum

Dzisiejsza gazeta jest odległa od tej z pierwszej dekady o lata świetlne. W treściach, formie, a przede wszystkim procesie tworzenia. Ale wciąż jest mi bliska. I cieszy mnie każdy telefon od Czytelników – bo nadal takie dostaję. Pewnie dlatego, że dziennikarzem się nie bywa, dziennikarzem z duszy się jest.

A „Tygodnik Ostrołęcki” był dla mnie szkołą takiego dziennikarstwa. I szkołą życia.

PS. Zaznaczam, że to są moje bardzo osobiste wspomnienia, poczynione na prośbę redakcji zeszytów *Ostrołęka pełna wspomnień*. Nie mają nic wspólnego z kronikarskimi raportami. Więc wiele osób może postrzegać te czasy i zdarzenia zupełnie inaczej.

Aldona Rusinek – rocznik 1954. Absolwentka wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Od 37 lat, jako dziennikarka, związana z „Tygodnikiem Ostrołęckim” (obecnie na emeryturze, nadal współpracuje z redakcją TO). Zameżna, dwie córki, troje wnuków.

MOJE ŻYCIE Z „TYGODNIKIEM”



Kiedy w 1980 roku kończyłem studia w Warszawie, nie myślałem, że za dwa i pół roku będę dziennikarzem „Tygodnika Ostrołęckiego”. Nie mogłem nawet o tym myśleć, bo „Tygodnika” wtedy jeszcze nie było. Na dodatek nie byłem absolwentem dziennikarstwa, lecz wydziału melioracji wodnych na warszawskiej SGGW.

Marzyłem, żeby zostać dziennikarzem

Owszem, kiełkowało mi w głowie takie marzenie, bo od dzieciństwa miałem pociąg do pisania. Urodziłem się i wychowałem w Lipnikach, gdzie był wtedy kiosk Ruchu, a w nim gazety. Niewiele ich było, ale z dzieciństwa najbardziej pamiętam, że niemal każdą otrzymaną od rodziców złotówkę wydawałem właśnie na gazety. Czytałem je od deski do deski, a jak skończyłem, to znów czytałem. Po krótkim etapie „Płomyczka”, który ukazywał się dwa razy w miesiącu, zauroczyłem się „Światem Młodych”, który wychodził dwa razy w tygodniu (we wtorki i piątki), miał 8 stron i kosztował 50 groszy. Ojciec był urzędnikiem i przyniósł kiedyś do domu stary i nie całkiem sprawny dziurkacz. Dziurkowałem więc te swoje gazety i robiłem za pomocą sznurka zszywki. A potem, gdy już rok się skończył, wynosiłem na strych. Wracałem jednak do lektury, zwłaszcza w zimowe wieczory. W siódmej i ósmej klasie miałem okres zauroczenia „Przekrojem”, który kupowało się spod lady. Już wtedy chciałem być dziennikarzem.

Po skończeniu podstawówki zostałem uczniem ostrołęckiego LO im. Bema, wtedy jedyne liceum w mieście. Ze mną było tak, że równie dobry byłem z matematyki, jak z polskiego. To były lata siedemdziesiąte i pamiętam, że zawody humanistyczne nie były wtedy w modzie. Trafiłem więc do klasy matematyczno-fizycznej, w której większość uczniów stanowili chłopcy. Gdy przyszła czwarta klasa, zdecydowana większość z nich wybrała politechniki, dwóch poszło do akademii medycznej, jeden wybrał geodezję, a jeden Wojskową Akademię Techniczną.

Ja długo się wahałem. Ciągnęło mnie do pisania, wiele razy moje recenzje z poniedziałkowych spektakli Teatru TV publikował „Tygodnik Kulturalny”. Maturę pisemną zdawałem więc – ku ogólnemu zaskoczeniu – w grupie humanistycznej (z polskiego miałem piątkę), a ustną z matematyki i fizyki, które zdawałem na studia.

Wybrałem melioracje na SGGW, ponieważ w tej branży pracował mój ojciec, a studia były ciekawe, bo przedmioty ściśle były przemieszane z przyrodniczymi. Na drugim roku zacząłem bawić się w studenckie radio, bo okazało się, że mam radiowy głos, wkrótce zostałem szefem Akademickiego Radia Ursynów. Zacząłem też trochę pisać do „Politechnika” – ogólnopolskiego dwutygodnika studenckiego, a także do „Kalejdoskopu” – studenckiego pisma wydawanego w Warszawie. Poznałem sporo fajnych ludzi, w tym moją żonę.

Na czwartym roku wzięliśmy ślub, urodziła nam się córka. Byłem pragmatyczny, myślałem o przyszłości, więc na trzecim roku podpisałem umowę o stypendium fundowane z wojewodą ostrołęckim. Stypendium wynosiło 2000 zł miesięcznie, a więc prawie dwa razy więcej niż maksymalne stypendium socjalne. To w zupełności wystarczało na utrzymanie. Dorabiałem też sobie roznosząc wczesnym rankiem mleko po akademikach. W 1980 roku skończyłem studia i rozpocząłem pracę w Wojewódzkim Zarządzie Inwestycji Rolniczych w Ostrołęce. Niedługo po stażu zostałem kierownikiem działu. To były ciekawe lata. Polska przeżywała

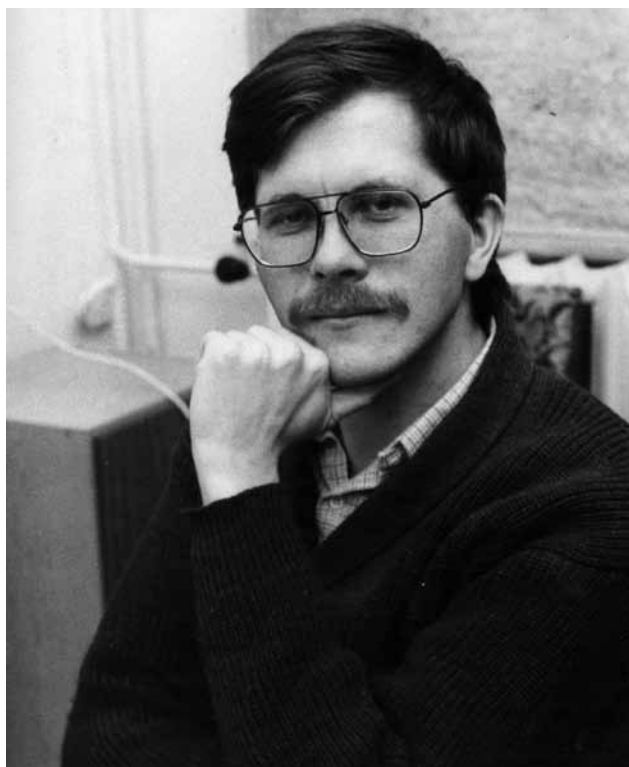
karnawał „Solidarności” (też należałem do NSZZ „S”), ale potem przyszedł stan wojenny. Wojewoda nie wywiązał się z umowy stypendialnej, w której była mowa o przyznaniu mieszkania w ciągu roku od podjęcia pracy. Mieszkałem z rodzicami, dojeżdżałem do pracy, żona jeszcze studiowała, a córka była u teściów – 100 kilometrów od Ostrołęki. Tam co tydzień spotykaliśmy się, tak było przez dwa lata.

Dowiedziałem się o „Tygodniku”

Wczesnym latem 1982 roku, kiedy z rosnącym przerażeniem myślałem o tym, gdzie będziemy mieszkać z żoną, która właśnie skończyła studia, dowiedziałem się, że w Ostrołęce powstaje gazeta. Nie jestem do końca pewien, kto mi o tym powiedział, ale pewnie ktoś, kto wiedział o moich zainteresowaniach. Mógł to być pan Jerzy Kijowski – prezes Ostrołęckiej Spółdzielni Mieszkaniowej, z którym rozmawiałem na temat mieszkania. Szczęśliwie miałem studencką książeczkę mieszkaniową, na którą wpłacałem co miesiąc jakąś kwotę. Z powodu odpowiednio wysokiej średniej ocen ze studiów okres oszczędzania wliczył mi się do czasu oczekiwania na mieszkanie. W lipcu 1982 roku, kiedy ukazała się lista przydziału mieszkań, zobaczyłem na niej swoje nazwisko.

Klucze do M-3 przy ulicy Buczka otrzymaliśmy pod koniec lipca, wtedy byłem już chyba po pierwszej rozmowie z Juliuszem Fossem, który miał już informację, że jestem zainteresowany pracą w nowej gazecie. Rozmawialiśmy na ławeczce na placu Bema. Julek był jak postać z innej bajki. Szczupły, niezbyt wysoki, siwa broda, garnitur, apaszka pod szyją, laska w rękę (utykał wtedy na nogę po poważnej kontuzji kolana), papieros w drugim rękę i charakterystyczne gesty. Tak go zapamiętałem.

Zanim doszło do rozmowy, już trochę o nim wiedziałem. W czasach licealnych i studenckich byłem stałym czytelnikiem ty-



Mieczysław Bubrzycki w redakcji (zdjęcie wykonane pod koniec lat 80.,
w siedzibie przy ul. Goworowskiej)

godnika „Perspektywy”, gdzie pracował redaktor Foss. Pamiętałem niektóre jego teksty, a rozmowa z nim przekonała mnie, że to fachowiec. Spytał mnie o moje doświadczenie dziennikarskie oraz o to, czy na pewno chcę zostać dziennikarzem. Mówił entuzjastycznie o tygodniku, który miał powstać oraz o... mojej roli w niej. Już widział we mnie dziennikarza terenowego, ale także znakomitego felietonistę.

Nikt wcześniej w taki sposób ze mną nie rozmawiał. Nikt nie obdarzył mnie takim kredytem zaufania. Miałem wtedy 26 lat! Nie pamiętam następnych spotkań, a pewnie były, bo z pewnością zaniósłem Julkowi jakieś swoje teksty. Na pewno był wśród nich

niedługi tekst na temat biurokracji, który ukazał się w drugim numerze TO, w październiku 1982 roku. Do dziś pamiętam, z jakim przejęciem oglądałem ten numer TO. Wtedy na pewno nie myślałem, że napiszę jeszcze i opublikuję tysiące różnych tekstów i że będę pracował w tej gazecie najdłużej ze wszystkich.

Od moich znajomych dowiedziałem się, że mój pierwszy tekst w TO czytał także radca prawny z mojej pierwszej firmy (potem był wojewodą). Skomentował go na głos i z przekąsem: „A co taki gówniarz może wiedzieć na temat biurokracji...” Wtedy oburzyłem się, ale on naprawdę miał rację.

Zostaliśmy redakcyjnymi kolegami

Nie wiem, jak wyglądały rozmowy redaktora Fossa z innymi młodymi ludźmi, których – tak, jak mnie – zachęcił do pracy w Tygodniku. Wkrótce zostaliśmy redakcyjnymi kolegami. Byli wśród nich: Aldona Rusinek – nauczycielka polskiego z technikum, Józek Badecki – szef zakładowego radiowęzła w Celulozie, Wojtek Woźniak – nauczyciel polskiego z liceum (pamiętałem go z czasów, gdy byłem uczniem). Nieco później dziennikarzem został Marek Ołdakowski – absolwent politologii. Wszyscy z Ostrołęki, nikogo wcześniej osobiście nie znałem.

Pracował też Witek Kujalowicz – jako fotoreporter. Do tego pani Krysia Jarzabek – szefowa administracji, Iwona Balcerzak – prawa ręka Julka, maszynistki Basia Płodziszewska i Ela Rogalska oraz Zdzisł Szukdlarek – kierowca redakcyjnego dużego fiata. Był jeszcze Leszek Sokoll – grafik i Irenka Machnowska – autorka rubryki „Irena radzi”.

Poznałem też panią Basię Milewską, która wraz z redaktorem Fossem pracowała w „Perspektywach”. Miała być sekretarzem redakcji. Wkrótce był ślub pani Basi z Julkiem. Ja dołączyłem do pierwszego składu TO po miesiącu, bo dyrektor WZIR, gdzie



Dziennikarze TO prawie w komplecie. Rok 1987, duża sala konferencyjna „pałacyku” przy Gorbatowa. Od lewej: Józef Badecki, Zbigniew Czaplicki, Aldona Rusinek, Mieczysław Bubrzycki, Antoni Kustusz, Zygmunt Głabas (redaktor „Naszej Wsi”)

pracowałem, nie chciał mnie puścić. Tłumaczył, że nie po to państwo sfinansowało moje studia, żebym teraz pozwalając sobie na jakieś fanaberie. Potrzebna była interwencja wojewody. Zanim zostałem dziennikarzem Tygodnika, odbyłem niedługą rozmowę z Bogdanem Kolebaczem, szefem wydziału propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Redaktor Foss uprzedził mnie, że taka rozmowa musi się odbyć, bo pismo jest przecież tygodnikiem PZPR. Myślę zresztą, że pozostali kandydaci do pracy też przez to przeszli. Nie pamiętam wszystkiego, co mówił do mnie szef partyjnej propagandy. Pamiętam, że przekonywał mnie, że to praca ciekawa. To była moja jedyna wizyta w budynku KW PZPR przy ul. Kościuszki. Nie byłem członkiem PZPR, większość moich kolegów także nie, ale w ówczesnych realiach PZPR rządziła niepodzielnie Polską. Jeśli chciałem spełnić swoje marzenie o byciu dziennikarzem, musiałem zaakceptować rzeczywistość, w której wtedy żyłem.

Jak powstały „Kolizje”

W listopadzie 1982 roku spełniłem swoje marzenie. To była dla mnie zupełnie inna praca. Nie musiałem przychodzić na określoną godzinę, w redakcji nie było warunków do pisania tekstów, nie mieliśmy nawet własnych biur. Pisaliśmy więc w domu, ale każdego dnia byliśmy też w redakcji. Ja pisałem dużo i z dużą przyjemnością. Pamiętam, że starałem się przez cały czas myśleć o czytelniku, który musi zrozumieć to, co napiszę. Julek był doskonałym przewodnikiem w tych pierwszych miesiącach pracy, kiedy kształtowałem się jako dziennikarz.

W naszej skromnej siedzibie przy ul. Berka Joselewicza (obecnie jest tam Straż Miejska) szef miał gabinecik po prawej stronie. Siedział w fotelu z niskim oparciem, przy niskiej ławie, po drugiej stronie był drugi fotel. Adiustował teksty korzystając z czarnych cienkich flamastrów. Robił to szybko, niemal bez zastanowienia, a jego poprawki za każdym razem zdumiewały mnie swoją trafnością. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek z nimi się nie zgadzał.

Zostałem wyznaczony, żeby redagować rubrykę zdarzeń kryminalnych. Umówiłem się więc na komendzie milicji, że będę do nich przychodził co tydzień. Poszedłem pierwszy raz, napisałem tekst z propozycją tytułu. Nie pamiętam tytułu dokładnie, ale składał się z kilku słów. Redaktor Foss za pomocą swego czarnego cienkiego flamastra skreślił przy mnie to, co trzeba i pozostawił tylko jedno słowo: „Kolizje”. Jakże trafne i jak mocno do dziś tkwi w pamięci czytelników, mimo że rubryki już dawno nie ma.

W swojej nowej pracy chciałem się nauczyć jak najwięcej i dlatego pewnie zawsze najwięcej pisałem. Julek Foss umiejętnie to wykorzystywał, proponował mi różne tematy, z czasem sam je sobie wybierałem. Wymyśliłem całokolumnową stałą rubrykę „Więści z gmin”. W woj. ostrołęckim było ich około 40, za punkt honoru wzięłem sobie odwiedzenie wszystkich i napisanie o nich. Głównym punktem takiej wizyty była rozmowa z naczelnikiem

gminy, ale odwiedzałem także inne firmy, np. GS, SKR, większe zakłady pracy.

Problem polegał na tym, że trzeba było do gminy dojechać, a potem stamtąd wrócić. Samochód służbowy służył do dowozu materiałów do drukarni (napiszę o tym później), aut prywatnych nie mieliśmy. Autobusów wtedy kursowało dużo, ale większość była dostosowana do dojazdu rano do Ostrołęki, a po południu z powrotem. Ja musiałem podróżować pod prąd. Był więc problem, do wielu gmin jeździłem z przesiadką, do niektórych (np. Tłuszcz, Klembów) pociągami. Do kilku w ogóle nie mogłem dojechać, w związku z tym nie było ich w mojej rubryce. Byłem jednak dumny, że – jako jedyny w redakcji – w niecały rok odwiedziłem prawie wszystkie gminy. I poznałem osobiście prawie wszystkich naczelników gmin.

Karkołomne drukowanie

Niespełna dwa lata po zatrudnieniu w TO spoczęło na mnie nowe zadanie. Obowiązki sekretarza redakcji pełniła u nas pani Basia Milewska – Foss, ale gdy zaszła w ciążę, Julek powierzył te obowiązki mi. Byłem p.o. sekretarza przez kilka lat, wtedy poznałem bliżej pracę drukarni.

Drukowaliśmy się w technice offsetowej, co – jak na owe czasy – było bardzo nowoczesne. Doceniali to czytelnicy, bo mimo nie najlepszego papieru druk był bardzo wyraźny. W tamtych czasach jednak drukarnie były obciążone pracą i zanim wystartował „Tygodnik”, redaktor Foss musiał to zorganizować. Chciał, żeby „Tygodnik” drukowano w Ciechanowie (bo drukarnia była dość blisko Ostrołęki). Niestety, Ciechanów nie zapewniał tzw. przygotowalni, czyli przygotowania klisz, z których drukowano gazetę. Oni przede wszystkim drukowali książki, więc ten dział nie był zbyt mocno rozwinięty. Przygotowalnię robiono więc w jednej z drukar-

ni warszawskich, a Ciechanów kończył tylko nieco później jedną, albo dwie ostatnie strony. Makiety z maszynopisami, zdjęciami i ilustracjami jechały więc 10 dni (!) przed ukazaniem się gazety do Warszawy, trzeba było je tam zawozić samochodem, a stamtąd już gotowe klisze wieźliśmy do Ciechanowa. Ostatnia strona (lub dwie) jechały z Ostrołęki do Ciechanowa kilka dni przed ukazaniem się „Tygodnika”. Wszystko, oczywiście, według godzinowego harmonogramu, stąd redakcyjne auto.

Gdy pełniłem obowiązki sekretarza, wielokrotnie bywałem w drukarni w Ciechanowie i widziałem, jak wygląda druk „Tygodnika”. Pamiętam pewien wczesny poranek, kiedy Julek nie zdążył napisać wstępniaka na kolumnę 3. Zajeżdżamy ze Zdzisławem do mieszkania szefa, za dwie godziny mamy być w Ciechanowie, a Julek niezrażony bierze maszynę do pisania i wsiada razem z nami sadowiąc się z tyłu. Gdy dojeżdżaliśmy do Przasnysza, kończył pisać tekst, za Przasnyszem adiustował go, na parkingu przed drukarnią rysował makietę. Wtedy zobaczyłem, że to naprawdę prawdziwy dziennikarz. Obowiązkiem redakcji było zawieźć gotowe wydruki każdej gazety do urzędu cenzury. W Ciechanowie był cenzor, który miał wiele ksiąg z zapisami, czego puszczać w gazetach nie wolno. W gazetach regionalnych przypadki cenzurowania zdarzały się rzadko. Nie pamiętam, żeby jakaś ingerencja dotknęła mego tekstu. Pamiętam natomiast cenzora. To sympatyczny, znacznie starszy ode mnie, pan Remigiusz. Z redaktorem Fossem mogli rozmawiać godzinami, co parę razy odczułem, kiedy szef wybrał się do drukarni razem ze mną.

Odwołanie Julka

Julek Foss był naczelnym „Tygodnika” przez niespełna cztery lata. Został odwołany w 1986 roku przez Komitet Wojewódzki PZPR. To skutek animozji, jakie występowały między nim a Hen-



Rok 1983, hala sportowa w Wojciechowicach. Po meczu „Tygodnika” z łomżyńskimi „Kontaktami”. Na samym dole (w krawacie) redaktor Juliusz Foss

rykiem Szablakiem, I sekretarzem KW PZPR. Szablak urodził się w Łysych, ale partyjną karierę zrobił w Warszawie, gdzie był nawet sekretarzem Komitetu Warszawskiego. Z redaktorem Fossem znali się jeszcze z Warszawy i niezbyt się lubili. Wiadomo, że naczelny musiał mieć kontakty z KW PZPR, ale do nas – dziennikarzy bardzo rzadko dochodziły jakieś odgłosy. Czasem tylko, gdy spotkaliśmy się przy wódce, Julek Foss mówił, co myśli o Szablaku. Myślał nie najlepiej.

Dla mnie odwołanie Julka to był szok. Pewnie także dla innych kolegów z redakcji. Wydawało mi się, że Foss będzie naczelnym przez wiele lat, że wciąż będę miał w nim oparcie. Byłem naiwny. Obowiązki naczelnego przejął Kazio Nowak, który pracował z nami od 1983 roku, ale jakiś czas przed odwołaniem Fossa został zastępcą naczelnego. Przyszedł do nas z komitetu i to powinno nam dawać do myślenia. Kazio był fajnym kolegą, choć nie o wszystkim się z nim rozmawiało. Kiedy odwołano Fossa, odwiedził mnie w mieszkaniu.

Rozmawialiśmy może z godzinę. Mówił, że decyzja o odwołaniu Fossa jest nieodwołalna, że on jest w trudnej sytuacji, a przyszedł, żeby mnie spytać, czy wciąż chcę pracować w redakcji. Zapewnił, że – jeśli chodzi o organizację pracy i moje obowiązki – nic się nie zmieni oraz że będziemy mieć taką samą swobodę działania, jak do tej pory. Byłem zdziwiony wizytą Kazia. Powiedziałem mu, kim dla mnie jest Julek Foss, że to on zrobił ze mnie dziennikarza, że lubię tę pracę i dlatego nie zrezygnuję z niej.

Kazio Nowak był naczelnym dość krótko. To już nie była ta sama redakcja, co kiedyś, atmosfera jakby się zwarzyła, nie o wszystkim się mówiło. Kazio się starał, teksty poprawiał po swojemu, nie było w tym profesjonalizmu i talentu Julka Fossa.

A propos tego, o czym w redakcji się mówiło. Jeszcze za czasów Julka Fossa poszedłem do lekarza rejonowego w przychodni na ulicy Kościuszki. Miałem kłopoty z żołądkiem (to, jak okazało się, moja zawodowa choroba). Młody lekarz zerknął na kartę pacjenta i zauważył, że jako zakład pracy figuruje „Tygodnik Ostrołęcki”. Bardzo go to zirykowało, powiedział, że pracuję w komunistycznej gazecie.

Oczywiście, przepisał mi jakieś leki na żołądek, ale ta uwaga lekarza bardzo mnie poruszyła. Wróciłem do redakcji i opowiedziałem, co się stało. Przysłuchiwało się kilka osób. Następnego dnia zatelefonował do redakcji kapitan z SB i spytał, czy miała miejsce ta nieprzyjemna sytuacja w przychodni? Odpowiedziałem, że tak. Zaprosił mnie do siebie. Byłem tam pierwszy i jedyny raz. Zapytał, czy chciałbym, aby w związku z tym zostało wszczęte jakieś postępowanie? Odpowiedziałem, że nie, że traktuję tę uwagę lekarza jako coś prywatnego.

Zastanawiałem się potem, w jaki sposób kapitan z SB dowiedział się o tym, co powiedział mi doktor. Byłem niemal pewny, że informacja wypłynęła z redakcji. Zacząłem rozmyślać, kto mógł donieść, ale w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że to droga donikąd. Zwłaszcza, że ktoś przecież mógł komuś

powtórzyć tę moją opowieść. Ten epizod daje mi jednak do dziś sporo do myślenia.

A młody doktor – antykomunista miał przecież rację, że pracowałem w komunistycznej gazecie. Niestety, bardzo chciałem być dziennikarzem, a innej gazety wtedy w Ostrołęce nie było.

Koledzy i koleżanki

Kiedy powstawał „Tygodnik”, prawie wszyscy w nowo powstającej redakcji byliśmy ludźmi młodymi. Julek był najstarszy, miał wtedy 44 lata. Dziennikarze mieli po dwadzieścia kilka lat, nieco starszy był Wojtek Woźniak.

Jak ich wspominam? Aldona Rusinek była w początkowym składzie jedyną dziennikarką. Niedawno odeszła na emeryturę. Jak obliczam, pracowaliśmy razem przez 32 lata. Aldona od początku pisała duże i ambitne teksty, specjalizowała się też w sprawach kulturalnych. Ja byłem specjalistą od form krótszych, pisałem o wszystkim, a najmniej o kulturze. Dla mnie to był podział zrozumiały, akceptowałem go. Aldona napisała dużo bardzo dobrych tekstów i aż żal, że nie zebrała tych najlepszych i nie wydała w formie książki. Choć odpoczywa na zasłużonej emeryturze, wciąż brakuje jej redakcji, pisania i do tej pory odwiedza nas, pisze też – choć już nieregularnie – a jej biurko wciąż nie jest przez nikogo zajęte. Szkoda, że w ostatnich kilkunastu latach swej pracy, została zaprzęgnięta do cotygodniowego zapełniania kolumn powiatowych. Myślę, że nie była to rola dla niej najlepsza. Józek Badecki zajmował się przede wszystkim sportem. Pamiętam go jako człowieka pewnego siebie. Józek był towarzyski i uczynny. Od początku ciągnęło go w stronę działalności gospodarczej. Tym właśnie zajął się w wolnej Polsce, wybrał Warszawę. Marek Ołdakowski jako najmłodszy z nas zajmował się redagowaniem rubryki muzycznej. Robił także inne rzeczy, ale tę rubrykę prowadził co tydzień przez kilka lat. Wykruszył się

z redakcji na początku lat 90-ych (a może jeszcze w 1989?), kiedy wojewodą został pierwszy niekomunistyczny wojewoda – Stanisław Podmostko. Koniecznie chciał mieć rzecznika – dziennikarza. Dyrektorka z Urzędu Wojewódzkiego zatelefonowała do mnie z propozycją. Odmówiłem, bo nie wyobrażałem sobie życia bez dziennikarstwa. Spytano mnie, kogo ewentualnie zaproponowałbym. Przyszedł mi do głowy Marek, który – jak pamiętam – cierpiał wtedy na niemoc twórczą. Zgodził się i przez wiele lat był rzecznikiem, potem pracował w ratuszu, aż wreszcie został szefem zarządu inwestycji. Wojtek Woźniak też odszedł z „Tygodnika”. Zaczął pracować w kulturze, potem poznaliśmy go jako twórcę i szefa pisma „Pracownia”. Pamiętałem go jako nauczyciela w liceum, z jego inicjatywy przeszliśmy na ty. Czuję zakłopotanie, gdy z nim rozmawiałem, bo Wojtek był erudytą, znał się na literaturze, poezji i na wielu innych sprawach, na których ja – początkujący dziennikarz po studiach inżynierskich – nie znałem się. Znał się także na drukarstwie, bo był nie tylko polonistą, ale także absolwentem technikum drukarskiego. Wojtek był członkiem Grupy Literackiej Narew, która wydawała skromne edytorsko tomiki wierszy. Ja przez kilka lat publikowałem w Tygodniku opowieści kryminalne pod tytułem „Na marginesie”. Wojtek zaproponował mi kiedyś, abym wybrał kilka z nich i wydał w ramach grupy Narew. Tak zrobiłem, tomik nosi tytuł: „Na marginesie: pierwszy pitaval ostrołęcki”, wydano go w 1987 roku. Wojtek wraz z żoną – Zosią, zginęli we wrześniu 2003 roku w wypadku drogowym za Szczytnem. Byłem na ich pogrzebie, oboje spoczywają na cmentarzu w rodzinnej parafii Zosi, niedaleko Mławy.

Pożegnania i powitania

To była druga śmierć osoby ważnej dla Tygodnika. I dla mnie. Pierwszy był Julek Foss. Po odejściu z „Tygodnika” miał



Rok 1988. Autor z Danutą Duchnowicz-Salicką (redaktor naczelna)

dłuższy urlop, najpierw – w kwietniu – pojechał z panią Basią i małym Markiem na wczasy do Rabki. Przysłał mi stamtąd bardzo fajne pozdrowienia, przechowuję je do dziś. A na następnym turnusie w tym samym ośrodku była moja rodzina: ja, żona i córki. Kontakt z Julkiem urwał się, kiedy znalazł pracę w Warszawie. Został szefem gazety zakładowej i w stolicy spędzał po kilka dni w tygodniu. Dojeżdżał autobusem. 30 sierpnia 1988 roku wracał do Ostrołęki po kolejnym tygodniu w Warszawie. Zasnął w autobusie, tuż przed Ostrołęką, kierowca przyspieszył, od razu wezwano karetkę na dworzec, ale Julek już nie żył. Dopadł go zawał serca. Pogrzeb był dla mnie dużym przeżyciem. Z kolegami z redakcji nieśliśmy trumnę. Wtedy naczelną Tygodnika była już, od około 2 lat, Danuta Duchnowicz-Salicka, która wcześniej pracowała w redakcji rolnej

Telewizji Polskiej. Pracowaliśmy już w nowej siedzibie przy ulicy Goworowskiej. To Julek Foss zabiegał o nią, kiedy był naczelnym. Gdy go odwoływano, roboty remontowe były już zaawansowane, ale on w nowej siedzibie już nie pracował. Pamiętam, jak wspólnie z kolegami (oprócz tych z pierwszego składu byli wtedy już z nami także Sławek Olzacki i Zbyszek Czaplicki, ale także Antek Kustusz, który trafił do nas ze Słupska), pisaliśmy krótkie wspomnienie o Julku, które miało ukazać się w gazecie. Były bardzo krótkie i nie ukazały się na eksponowanym miejscu, bo tak zarządziła naczelna. Z tego pamiętam ją najbardziej. Pamiętam ją także z akcji, które organizowała. Utworzyła w naszej małej redakcji działy, ja zostałem szefem działu wsi i rolnictwa (tak się to chyba nazywało), miałem nawet pieczęć. Zorganizowaliśmy turniej „Zamość kontra Zamość”. W miejscu, gdzie są dziś dwa banki (obok Feniksa), stała wtedy scena i to na niej rywalizowały reprezentacje Zamościa z gminy Troszyn i Zamościa z gminy Sypniewo. Rywalizowały bardzo poważnie, nie pamiętam już, kto zwyciężył, pamiętam natomiast, że momentami było bardzo nerwowo, bo nie mieliśmy doświadczenia w takich imprezach. Więcej takich turniejów nie było. Z tych czasów pamiętam także anonim, napisany na maszynie, który nadesłano do redakcji. Autor wyrażał w nim zaniepokojenie, że redaktor Bubrzycki publikuje za dużo, zajmuje więc cenne miejsce w Tygodniku, które można byłoby wykorzystać na teksty miejscowych twórców: literatów i poetów. Autor anonimu apelował do redaktor naczelnej, aby te proporcje zmieniła niezwłocznie na korzyść ostrołęckich twórców.

Naczelna dała mi ten list z uwagą, że nie wie, co z tym zrobić. Przeczytałem go więc. Ponieważ mam w sobie naturalną ciekawość, a ponadto napisałem dużo tekstów o charakterze kryminalnym, więc przeprowadziłem własne śledztwo. Wtedy wszystkie teksty trafiały do redakcji w postaci rękopisów lub maszynopisów, które i tak – po adiustacji – trzeba było przepisać na tzw. formatkach. Przez jakiś czas – jak wspomniałem – pełniłem obowiązki sekreta-

rza redakcji, wtedy prawie wszystkie teksty przechodziły najpierw przez moje ręce. Trzeba trafić, że autor anonimu popełniał stale charakterystyczny błąd maszynowy. Taki sam błąd popełniał znany wówczas w Ostrołęce literat i poeta, który przynosił swoje teksty do redakcji, a ja ten błąd pamiętałem. Nie miałem wątpliwości, kto napisał anonim, zatelefonowałem więc do tej osoby i spytałem, czy nie powinien o swoim problemie porozmawiać ze mną, bo może podzielam jego poglądy i obyłoby się bez anonimu. Powiedział, że nie wie, o czym mówię i obraził się na mnie. Z perspektywy czasu wiem jednak, że autor anonimu miał rację pisząc, że w Tygodniku było za dużo Bubrzyckiego. Faktycznie, zawsze pisałem dużo, co wynika z moich naturalnych predyspozycji. Wciąż miałem głód pisania. Szef każdej redakcji lubi takich pracusiów, bo zawsze można na nich liczyć, gdy ktoś nie napisze na czas zamówionego tekstu. Inaczej oceniali to niektórzy koledzy, którzy widzieli tylko listę płac (wtedy za każdy tekst redakcja płaciła wierszówkę), a nie wiązali tego z czasem, który potrzebny jest na przygotowanie i napisanie tekstów.

Nowe czasy

Potem przyszedł rok 1989 i nowe czasy. Jakoś tak po cichu odeszła i wróciła do Warszawy redaktor naczelna, jej obowiązki przejął Krzysiek Szelaąg, który przyszedł do redakcji za jej czasów i został jej zastępcą. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że komisja likwidacyjna RSW Prasa Książka Ruch zadecydowała, że przekaze prawo do tytułu spółdzielni pracy, którą powołają pracownicy „Tygodnika”. Byłem w 3-osobowym zarządzie nowej spółdzielni „Promotor”, którą powołaliśmy. Pojechaliśmy w całym składzie (z Krzysiem Szelaągiem i Sławkiem Olzackim) do Warszawy, gdzie byliśmy na rozmowie z szefem komisji likwidacyjnej. Wracaliśmy już pewni, że „Tygodnik” będzie istniał, a my będziemy dalej w nim pisać.

Okres spółdzielni trwał do 1999 roku i był to – moim zdaniem – najlepszy czas w historii „Tygodnika”. Krzysiek Szelaąg zrezygnował wkrótce z funkcji naczelnego i prezesa spółdzielni, koleżanki i koledzy zaproponowali tę funkcję mnie, ale odmówiłem. Propozycję przyjął natomiast Sławek Olzacki, który przyszedł do „Tygodnika” za czasów redaktora Fossa. Gdy w 1998 roku likwidowano województwo ostrołęckie i tworzono powiaty, Sławek Olzacki wykorzystując nasze obawy przed nowymi czasami, przekonał nas, żeby utworzyć spółkę z większościowym udziałem norweskiej spółki Orkla, która wydawała m.in. „Rzeczpospolitą”. Miało być wspaniale, a radykalnie obniżono nam zarobki, w redakcji skończyła się demokracja, zaczęły się dobre czasy dla wybranych. Ale to już temat na osobną opowieść.

Nie chcę być na pogrzebie „Tygodnika”

Ten tekst powstał, bo zostałem poproszony o napisanie wspomnień z okresu, kiedy tworzył się „Tygodnik Ostrołęcki” oraz z pierwszych lat jego istnienia. Powodem jest to, że jako jedyny pracuję w Tygodniku od samego początku, niedługo minie 37 lat! I na pewno nikt już tego mojego rekordu nie pobije. Dostałem jednak mało czasu na przygotowanie, ponadto obecna redakcja to korporacja, więc pracy jest po uszy – także w weekendy – i tekst nie jest taki, jaki mógłby być.

Podjąłem się tego mimo to, ponieważ powstanie „Tygodnika Ostrołęckiego” było wydarzeniem historycznym i mam w tym swój skromny udział. Gazety wraz z zawartością pozostają, jako bezcenne źródło informacji, ale także jako świadectwo czasów, w których się ukazują. Z „Tygodnikiem” tak właśnie jest. Nigdy wcześniej w Ostrołęce, ani w kilku okolicznych powiatach, nie ukazywała się tak długo gazeta. Miło jest pomyśleć, że byłem w niej od samego początku i trwam w niej wciąż z nadzieją, że dobiję

do emerytury. Kolejne lata spędzone w „Tygodniku” przekonują mnie coraz bardziej, że zawód dziennikarza bardzo stracił na znaczeniu i spauperyzował się. Dziś praca w „Tygodniku” wygląda zupełnie inaczej niż na początku. Przede wszystkim jest jej znacznie więcej i wciąż jej przybywa. Pracujemy na dwa fronty: do gazety i do wydania online. Nie ma czasu na myślenie o kształcie tekstu, działamy pośpiesznie, priorytetem jest sensacja, a nad wszystkim czuwają techniki komputerowe. Panom w pewnym wieku jest znacznie trudniej odnaleźć się w tych realiach, trudniej przychodzi opanowanie wciąż nowych umiejętności i podołanie coraz nowym obowiązkom. Stąd pogłębiające się we mnie wrażenie, że mój czas w tej firmie powoli się kończy.

Kończy się także, co widzę gołym okiem, czas gazet papierowych. Wyrok śmierci już zapadł. Dlaczego? Bo wymierają czytelnicy, a młodzi gazet nie czytają. W ich miejsce wchodzi wydania internetowe. W mowie korporacyjnej gazeta nazywa się wydaniem print, a internetowa online. Print odchodzi, online nadchodzi.

Ja wciąż jeszcze kupuję i czytam gazety papierowe, ale w redakcji już prawie nikt inny tego nie robi. Coraz bardziej jesteśmy zanurzeni w internecie. To bardzo wymowne, a dla mnie smutne. Mimo tych niewesołych refleksji, cieszę się jednak, że byłem w redakcji od początku, że zostawiłem jakiś swój ślad niemal w każdym wydaniu „Tygodnika” (od kilkunastu lat przede wszystkim w jego wydaniu ostrowskim). Cieszę się, że mogę przez tyle lat pracować – coraz ciężiej, niestety – w zawodzie, który lubię. I mam nadzieję, że – gdy za kilka lat będę odchodził na emeryturę – wciąż jeszcze będzie można kupić w kiosku papierowy „Tygodnik Ostrołęcki” i jego papierowe wydania powiatowe. Nie chciałbym być – jako dziennikarz – na pogrzebie gazety, w której pracuję od początku.

Mieczysław Bubrzycki – rocznik 1956. Z wykształcenia magister inżynier melioracji wodnych (po warszawskiej SGGW), z zawodu dziennikarz. Całe swoje dziennikarskie życie związał z „Tygodnikiem Ostrołęckim” (pracuje w TO od początku, czyli od listopada 1982 roku do dziś). Żonaty, dwie córki, dwóch wnuków.

OSTROŁĘCZANIN W NOWYM JORKU
(Z pobytu „wakacjusza” 5 VII 1986 – 8 V 1987)



5 lipca 1986 (sobota)

Dziś mój odlot do Nowego Jorku. Na warszawskim lotnisku Okęcie ciężar rozstania z żoną Danusią, dziećmi – Ewunią i Adasiem, członkami rodziny: Janeczką, Bogusiem, Jasiem i Darkiem. Ostatnie rady, polecenia, przypomnienia, ostrzeżenia, obietnice. Ostatnie uściski, pocałunki. W oczach błyszczą łzy... i już machamy sobie na pożegnanie z oddalenia, z dwóch stron barierki. Krótka odprawa celna. Godzina 8.37. Samolot, którym lecę do Ameryki odrywa się od pasa startowego. Ziemia zostaje w dole, coraz dalej i dalej. Cudowne uczucie lotu! Coraz wyżej i wyżej. Już tylko czysty błękit nieba i puszysta biel obłoków. Bezbrzeżna rozległość błękitu i bieli. Spieniona otchłań bez początku i końca, burząca się, to znów zapadająca w wyciszenie, uspokojenie... – Boże mój – myślałem – jakiś ty potężny i dobry, że stworzyłeś tak przepiękny świat, taką nieskończoną przestrzeń... i mnie, bym mógł go oglądać...

A samolot odpływał coraz dalej od domu, Ostrołki, od Polski... Oto już i Nowy Jork, lotnisko J. F. Kennedy’ego. Powitania, radość, uściski z bratem Jaśkiem, na którego zaproszenie tu się znalazłem, z Ryśkiem, Marianem, jest też Wiesiek i Andrzej. Wszyscy oni – poza bratem Jankiem – tak jak ja – „wakacjusze” z Ostrołki, którzy kilka, kilkanaście miesięcy przede mną wylądowali na tym samym lotnisku. Pytają o swe żony, dzieci, jak żyją, co w Polsce. Przekazuję im listy i drobne upominki oraz pozdrowienia od ich najbliższych, opowiadam, że tęsknię za nimi, że radośnie dziękują

za przekazywane im paczki, pieniądze i są bezgranicznie wdzięczni za wszelkie dobro, jakie dla nich czynią. Widzę, jak w oczach chłopaków zaczynają szklić się łzy. To łzy tęsknoty. Ale Jaśko już wyciągnął z bagażnika samochodu „powitalną”, więc za pomysłność! I żeby dobry Bóg zdrowiem obdarzył, a będziemy sobie radzić. Po drodze zajeżdżamy do mieszkania Mariana, Wieśka i Andrzeja. Urządzili małe przyjęcie. Po krótkim u nich pobycie z Jankiem jedziemy do niego do Old Forge w Pensylwanii. Jedzie też Rysiu i Maryś, w niedzielę po obiedzie wrócą autobusem do Nowego Jorku.

Tak się złożyło, że dzień mojego przyjazdu do Stanów Zjednoczonych był dniem uroczystych obchodów 210-lecia istnienia Stanów Zjednoczonych Ameryki i 100-lecia słynnej na cały świat Statuy Wolności. Stoi ona na wyspie Ellis Island, symbolizuje sobą nadzieję życia w wolności w Stanach Zjednoczonych oraz utrzymanie pokoju na świecie. Wszystkich przybywających wita symboliką wolności i słowami na cokole:

Niechaj przyjdą tu do mnie znużone, ubogie,
cierpiące rzesze ludzkie spragnione radości.
Niech opuszczą swe kraje przeludnione, wrogie
i niech bezdomne, nędzne przyjdą w moje włości...

Uroczystość ta, przez Amerykanów nazywana Liberty Weekend, odbyła się przy upalnej, słonecznej pogodzie. Kulminacją było przemówienie prezydenta Ronalda Reagana, który Statuę Wolności nazwał „płomieniem nadziei dla całej ludzkości”. Zapalenie zaś pochodni otworzyło główną część programu: występy chóralne, popisy solistów, prezentacje aktorów, sztuczne ognie. Do przystani nowojorskiej przybyło około 40 tysięcy statków i łodzi motorowych. Choć spóźniony o kilka dni, przybył również statek z Polski.

Do domu brata Janka w Old Forge w pięknej Pensylwanii przyjeżdżamy około godziny 20.00. Serdeczne powitanie z Ma-

rysią – żoną brata Janka, też durlasianką, z ich uroczymi małymi córeczkami: Iwonką i Bernadetką oraz Danielem, najstarszym z rodzeństwa. Marysia przyrządziła uroczysty obiad w salonie. Jestem trochę zmęczony i oszołomiony podróżą, zauroczony pięknem krajobrazu, ich domem i ogrodem, wszystkim, co w tak krótkim czasie zobaczyłem i czego doznałem. Jaśkowi udało się połączyć telefonicznie z moimi najbliższymi w Ostrołęce. Informuję ich o szczęśliwym dotarciu do celu. Wspólnie się cieszymy.

6 VII 1986 (niedziela)

Dzień upalny i słoneczny. Rozmowom i opowiadaniom nie ma końca. Przekazuje przywiezione prezenty i upominki. Po obiedzie odwozimy Mariana i Ryśka na dworzec autobusów, odjeżdżają do Nowego Jorku, gdzie pracują i jutro rano muszą stawić się na swych stanowiskach. My z Marysią, Jankiem i ich córeczkami zwiedzamy muzeum dawnych parowozów. Po powrocie z powitaniem przyszli Danusia i Franek Kurpiewscy z mamą Danusi (przyjechała tydzień wcześniej), Mietek Wiktorek z żoną, najmłodsza siostra Marysi z mężem, państwo Doleccy... Miło i wesoło. Imprezujemy w Janków ogrodzie. Wszyscy pytają o Polskę, Ostrołękę, Durlasy, o warunki życia, o bliższych i dalszych kuzynów, znajomych...

Przez cały tydzień jestem wakacjuszem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Z Marysią i z Jankiem (w tym celu oboje wzięli urlopy) odwiedzamy bliskich i znajomych, oni nas odwiedzają, jeździmy po przepięknej krainie jaką jest Pensylwania: miasteczka, muzea, świątynie, sklepy giganty z gigantyczną ilością wszelkich dóbr, restauracje, farmy (u ich znajomych farmerów), jezioro, górskie strumienie. W barach i bankach wcale nie musieliśmy wysiadać z samochodu, by otrzymać pieniądze czy też smaczne jedzenie. Syciłem się więc i pięknem i bogactwem tego kraju. Także gościnnością Marysi i Janka.

W Polsce mówią, że od przybytku głowa nie boli. Mnie rozboleła! Przyzwyczajona do naszych sklepów ogólnospożywczych bez produktów spożywczych, mięsnych – bezmięsnych, pawilonów handlowych bez handlu, bo niema czym handlować, składów i magazynów towarowych bez towaru, stacji benzynowych bez benzyny... Rozboleła właśnie od nadmiaru tutaj tego wszystkiego, czego w Polsce wciąż brakowało, czego brak było również gdy kilka dni temu z Polski wyjeżdżałem. Boże drogi! Tu nadmiar wszelkiego dobra, według potrzeby, chęci, gustu i upodobania, oczywiście także możliwości finansowych. Tu sprzedawczynie mile się uśmiechają i zapraszają, mówią do klienta „gut moring”, „plis”, „am sorry”, „wery nais”, „wery gut”, czynią wiele innych „magicznych” gestów, wypowiadają wiele innych „tajemnych” słów, czego nasze uroczę sprzedawczynie nie muszą czynić, ba, nie mogą czynić, bo jak zapraszać do pustego sklepu, gdzie na półkach stoją tylko butelki z octem?

11 VII 1986 (piątek)

Całą rodziną (Janek z Marysią, dziećmi i ja) jedziemy do Binghamton do cici Celiny Cennak – stryjecznej siostry naszej mamy. Trasa piękna, pejzazowo urozmaicona, doliny, góry, dużo zieleni. Autostrady dwukierunkowe, oddzielone od siebie pasem zieleni: krzewów, kwiatów, szerokie, czteropasmowe w obu kierunkach. Serdeczne powitanie z cicią Celiną, jej mężem Stefanem, z cicią Antosią Lynch (młodszą siostrą Celiny). Wujek Stefan pięknie pielęgnuje ogród, mnóstwo w nim przeróżnych kwiatów i krzewów. Wszystkim przekazuje drobne pamiątki z Polski, prezenty dla nich od naszej mamy. Są serdecznie wzruszeni pamięcią o nich, bardzo ciekawi Polski, Ostrołęki, Kurpiowszczyzny, skąd przed wielu laty wyruszyli ich rodzice „Za Wielką Wodę” (Celina i Antosia urodziły

się już w Ameryce). Od nich też, od Janków – jak i od innych osób, z którymi się spotykam – otrzymuję drobne wsparcie finansowe na dobry początek. Jest to okazanie życzliwości i miły zwyczaj. Z cocią Celiną, która nie tylko pięknie mówi po polsku, jak i ciocia Antosia, ale pięknie pisze po polsku, ustalamy stały kontakt listowny. Spisywane przez nią dla mnie rodzinne wspomnienia i przekazywane zdjęcia pozwolą mi po powrocie do Polski przedstawić dzieje jej rodziny i jej rodziców, drukowane w piśmie Związku Kurpiów, noszącym tytuł „Kurpie”.

13 VII 1986 (niedziela)

Jestem już w Jersey City, olbrzymiej aglomeracji, oddzielonej od Nowego Jorku jedynie rzeką Hudson, połączonej zaś z nim dwoma olbrzymimi tunelami, biegnącymi pod dnem rzeki: Holland Tunnel i Lincoln Tunnel oraz wielkim, wiszącym nad Hudsonem mostem George Washington Bridge. Wspaniałe miasto. Marysia z Jankiem zaopatrzyli mnie we wszystko, co potrzebne do życia. Załadowali cały samochód i wieźli jak z posagiem: kilkanaście słoików przetworów (wyrób Marysi) mięsnych i warzywno-owocowych, wiele innych wiktuałów, także koc, poduszkę i prześcieradło, sztucce i inne potrzebne do życia przedmioty. Zabezpieczyli też najbliższą moją przyszłość niezbędnym wkładem finansowym. W Pensylwanii dla „wakacjuszy” pracy nie ma, jak i w innych stanach, na właścicieli nakładane są duże kary za zatrudnienie takiego pracownika, a my przyjeżdżamy niby na wakacyjny wypoczynek (stąd „wakacjusze”), a głównie po to, by trochę zarobić dla swych najbliższych. I właściwie w obecnym czasie tylko w dwóch wielkich miastach możemy znaleźć pracę: w Nowym Jorku i Chicago, bo tylko w tych miastach – molochach „wakacjusze” mogą się „zgubić” w olbrzymim tłumie i tylko tu prywatni właściciele (Żydzi, Włosi, Portorykanie, Rosjanie, Polacy) różnych niewielkich zakładów, warsztatów, fabry-

czek, mogą – oczywiście nielegalnie – nas zatrudnić. Naturalnie, że ryzykują, ale mają czysty zysk – tanią siłę roboczą. My, wakacjusze, też ryzykujemy, bo przyłapani na takiej nielegalnej pracy przez odpowiednie służby amerykańskie jesteśmy pozbawieni dalszego pobytu w Stanach.

Mieszkał będę z Rysiem i ”friendem” Felusiem w wynajętym przez nich „apartamencie” (dwa pokoje, kuchnia, łazienka, ciepła i zimna woda, gaz, telefon, kolorowa wielokanałowa telewizja). Rysio też pomógł mi znaleźć pracę w Apollo Plastik Corporation, zakładzie produkującym różnokolorowy plastik, którego współwłaścicielem jest Żyd pochodzący z Polski. Praca ciekawa, lekka i przyjemna, ale stawki godzinowe też „lekkie” i brak nadgodzin. Pracują tu Murzyni, Portorykanie, kilku Polaków – „wakacjuszy”, właśnie takich jak ja. Rysiek jest „formenem” w warsztacie samochodowym u Włocha. Gdybym był tak jak on dobrym fachowcem w dziedzinie naprawy samochodów, mógłbym pracować z nim i dobrze zarabiać. Ba, gdybym...

*

Pracuję na zmianie nocnej, od godziny 23 do 7 rano. Dni i noce są bardzo ciepłe i pogodne. Gdy idę do pracy patrzę na świecące w górze gwiazdy. Szczególnie jedna świeci bardzo jasno. Patrzę też na płynące wysoko w górze samoloty, błyskające czerwonymi światełkami pozycyjnymi. Napływają myśli o najbliższych, o domu, Ostrołęce, Polsce. W serce – jeszcze delikatnie – zaczyna pukać dziwne uczucie tęsknoty...

25 VII 1986 (piątek)

Otrzymałem pierwszy mój czek za pracę, pierwsze własnoręcznie zarobione dolary w Stanach Zjednoczonych Ameryki! Miło i przyjemnie.

*

Mój „friend” Feluś, z którym razem mieszkamy w „apartamencie”, też „wakacjusz”, z Nowej Huty (jest tu już trzeci rok), z którym idę na zakupy, kłania się pięknej młodej kobiecie o smutnych oczach. Zamienia z nią kilka słów, później snuje o niej opowieść. Przyjechała kilka lat temu z jego stron. Oboje znali się będąc jeszcze w Polsce. Gdy przyjechała oświadczyła znajomym, jak bardzo kocha swego męża i małą córeczkę, chce trochę zarobić uczciwą pracą i do nich jak najszybciej powrócić. Nie powróciła do dziś. Miłość do męża przelała na drugiego mężczyznę, z którym tutaj ma dziecko. Jej koleżanka, z którą razem przyjechała – jak mówi Feluś – hojnie obdarzona przez naturę, „dorabiała” biorąc odpowiednią sumę dolarów. Kiedy mąż się jej wyrzekł i nie miała do kogo wracać, a z upływem czasu wiele straciła na atrakcyjności, obniżyła stawkę o połowę, lecz chętnych podobno brak.

*

Przyjeżdżający tu polscy „wakacjusze” przywożą ze sobą swoje własne marzenia, swoje lęki, oczekiwania, nadzieje... Dla wielu Stany Zjednoczone jawią się wciąż jako mityczne Eldorado, bajeczna kraina, gdzie dolary wiszą na drzewach zamiast liści i wystarczy je pozrywać lub leżące na ulicy pozbierać. Nastawieni na szybkie i łatwe wzbogacenie się, niemile są zaskoczeni tym, co oferuje im rzeczywistość. Tu, by zarobić, naprawdę muszą ciężko pracować. Wykonywać najgorsze prace przy dużo niższych stawkach zarobkowych jakie otrzymują tubylcy. A gdzie pracują? Jako turyści nie posiadają prawa pracy w tym kraju, najmują się więc wszędzie, gdzie chcą ich przyjąć i gdzie są wolne miejsca pracy w prywatnych fabryczkach, zakładach i zakładzikach: myjniach, rzeźniach, warsztatach ślusarsko-mechanicznych, stolarskich, „gabeciach” (wywóz śmieci), żydowskich piekarniach, w różnych innych prywatnych zakładach wytwarzających i przetwarzających, przy sprzątaniu, na budowach, przy remontach i rozbiórkach,

przy myciu naczyń w barach i restauracjach przez całe noce z obrzękłymi od wody rękami. Kobiety również jako sprzątaczk domowe, gosposie lub opiekunki przeważnie w żydowskich rodzinach. Dobrze płatna jest praca przy azbestach, ktoś jednak już prześledził, że ci, którzy tam pracowali, po powrocie do kraju wcześniej czy później chorowali na raka. Nieźle zarabiają również na tak zwanych skerfach, to jest na zewnętrznych ścianach wysokościowców, uczeptieni w maleńkich platformach – koszach na wysokości na przykład 60. piętra budynku, dokonują napraw oraz uzupełnień elewacji. Wystarczy tam jednak mała nieuwaga czy nieostrożność, przypadkowe zsuniecie się nogi... Było ponoć sporo takich przypadków.

27 VII 1986 (niedziela)

Na godzinę 10.30 idziemy do kościoła na Mszę świętą w języku polskim. Po powrocie jedziemy (wypożyczonym przez Ryszarda od bosa samochodem, bo jego się zepsuł i nie zdążył naprawić) do Nowego Jorku do Mariana na Brooklyn. Razem odwiedzamy różne sklepy, w barze-restauracji jemy obiad i tunelem pod rzeką Hudson wracamy do Jersey City.

1 na 2 VIII 1986 (noc z piątku na sobotę)

Ostatni raz pracuję w plastikach w Jersey City. W niedzielę 3 sierpnia żegnam się z Ryszardem i Felusiem, z Marianem odjeżdżam do Nowego Jorku. Wynajmuję pokój w typowym „tramwaju” („apartamencie”) przy 8 Street, odchodzącej od Bedford Avenue. Pozostałe dwa pokoiki (ten od ulicy i środkowy są już zajęte przez takich jak ja „wakacjuszy”).

*

Budujemy prywatną willę dla Żyda o imieniu Sem, który pochodzi z Polski, dobrze posługuje się naszym językiem. Pracujemy we czterech: Marian, Andrzej, Wiesiek i ja (wszyscy z Ostrołęki). Dotychczas pracowali we trzech. Marian przekonał Sema, że właśnie potrzebny jestem do pracy jako czwarty. Pełni on tu rolę „formena”, jako majster i szef naszego zespołu prowadzi całą budowę, Sem darzy go dużym zaufaniem. On też, jako majster zgłasza wszelkie zapotrzebowania na materiały i potrzebne do budowy przedmioty, a Sem dzwoni do odpowiedniej firmy, która wkrótce (tegoż dnia!) przywozi na miejsce zamówione materiały. Znając cierniste drogi w Polsce tych, którzy chcą budować własny dom, trudno uwierzyć, że tu jest wszystko takie zwyczajne, dostępne i proste.

Sem opowiadał nam, że razem ze swym ojcem byli więzieni w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Ojciec tam zginął, on przeżył. W trudnych obozowych chwilach ojciec podtrzymywał go na duchu, mówił, aby nigdy nie tracił nadziei. A dla duchowego pokrzepienia opowiedział mu przypowieść o dwóch muchach. Obie wpadły do słoja ze śmietaną. Obie, ratując swe życie, zaczęły trzepotać skrzydełkami i przebierać nóżkami. Jedna z nich, zmęczona i zniechęcona, zrozpaczona bezskuteczną pracą, poddała się i utonęła. Druga zaś tak długo i uparcie przebierała w tej śmietanie nóżkami, pomagając sobie skrzydełkami, aż zrobiła się bryła masła, po której wydostała się ze słoja, ratując życie. Sem mówi też, że nie wierzy w Boga. Tam w Oświęcimiu, gdy przeżywał śmierć ojca, tyle cierpienia i upokorzenia, skamieniało mu serce. Do synagogi chodzi tylko dla mamy, staruszki, też więźniarki obozu koncentracyjnego.

*

Miejsce gdzie pracujemy, to precudnie położona osada letniskowa Edgewater, tuż obok historycznego Fortu Lee, w terenie pięknie zadrzewionym, na wysokiej kamiennej skarpie prawego

brzegu rzeki Hudson, około 400–500 metrów od George Washington Bridge, już w stanie New Jersey. Z wysokiej skarpy, gdzie budujemy dom Sema, mamy piękny widok na Manhattan, rozłożony na przeciwległym brzegu. Dojeżdżamy tu własnym samochodem. I to jakim! Olbrzymim, wygodnym starym fordem. Tu za kilkaset dolarów można kupić samochód i długo jeszcze nim jeździć. Powozi zawsze Marian i czyni to bardzo sprawnie. Trasę mamy dość długą. Z Greenpointu, gdzie mieszkamy, przejeżdżamy przez dwa mosty: Pulaski Bridge i Queensboro Bridge, jedziemy promenadą Roosevelta, biegnącą wzdłuż East River wschodnim skrajem wyspy Manhattan (obok siedziby ONZ), dalej przez kolejny most George Washington Bridge i... już na miejscu.

Rzeka Hudson jest tu bardzo szeroka. Bliskość ujścia do oceanu sprawia, że co kilka godzin, rytmicznie co sześć, następują przyprływy i odpływy z różnicą poziomu wody sięgającą 1-1,5 metra. I aż wierzyć się nie chce, że po przeciwnej stronie rzeki leży ten największy moloch, Nowy Jork z Manhattanem, a tu, w starych zakolach i zatoczkach rzecznych, panuje cisza, szumią spokojnie trzciny kołysane wiatrem, szeleszczą szuwały, a cykady dają ciągle koncerty. W uskokach i skalistych szczelinach wysokiej skarpy brzegowej spokojnie żyją szopy. Zlatuje się tu też, do zakoli i zatoczek, duża ilość dzikiego ptactwa: gęsi, kaczki, łabędzie, dużo mew. Są tu codziennie. Do „naszej” zatoczki, ukrytej wśród trzciny tuż obok miejsca, gdzie pracujemy, zlatują się całymi stadami. A my wszystkie je karmimy. Zawsze rano Sem przywozi samochodem pełne kartony wszelkiego pieczywa koszerne z żydowskiej piekarni swego znajomego. Gdy nie zostanie ono rozprzedane w dniu wypieku, uważane jest za czerstwe, usuwane ze sklepu i sprzedaży. Bierze więc ile chce chleba, bułek z rodzynekami, z cebulą, z kminkiem, przeróżne ciasta i przywozi, a my rzucamy je z wysokiej skarpy do zatoczki ptakom, które z radosnym wrzaskiem uczują trzy razy dziennie. Rano, gdy tylko przyjedziemy, przylatują stadkami, później na obiad i kolację. Gdy się nakarmią leniwie snują się przez jakiś

czas po zatoczce, spokojnie wypoczywają to znów kłóć się i biją między sobą, potem odpływają lub odlatują. Cudowna natura! A wszystko to dzieje się pod bokiem Nowego Jorku.

*

Nowy Jork. Miasto moloch. Boże! Ile on ma twarzy. A każda inna, niepodobna do drugiej. Między skrajnym bogactwem a skrajnym ubóstwem zawiera się tu wszystko inne. Mieszkam w nim już od kilku tygodni, w dzielnicy Brooklyn na Greenpoincie, wtopiony w jego krwioobieg, w jego pulsowanie.

Głównym akcentem tego molocha jest Manhattan. Kuszący, stalowo-szklany, nieba zdaje się sięgać swymi budowłami. Sodoma współczesnego świata, jak mówią niektórzy. Z nieskończoną różnorodnością. Trudno tu zobaczyć dwa budynki podobne do siebie, a tym bardziej dwoje podobnych do siebie ludzi. Z sieci ulicznej wyrastają budowle jak drzewa, pawilony, przepiękne wille, duże kamienice, wieżowce, drapacze chmur. Wyższe wypiera niższe, bogatsze – biedniejsze. Tu każdy budynek jak człowiek: ma swój charakter, żyje swoim życiem dopóty, dopóki nie zostanie zburzony. Manhattan nie wystarczy zobaczyć, trzeba go dotknąć, „posmakować”, stać się cząsteczką jego krwioobiegu. Ale uważać trzeba też bardzo pilnie, żeby nie utonąć w wielkim jarmarku kolorowych, podniecających zachęt. Tu ciągle trwa wielka wyprzedaż rzeczy i marzeń, nadziei i lęków, wzlotów i upadków – fascynujące bogactwo możliwości wyboru...

W ogóle Nowy Jork składa się z pięciu głównych dzielnic-miast, którymi poza Manhattanem są: Brooklyn i Queens (w zachodniej części wyspy Long Island), Bronx (na kontynencie) i Richmond (na wyspie Staten Island). Zamieszkuje tu wiele grup etnicznych, dosłownie z całego świata, które mają swoje stacje radiowe i telewizyjne, swoją prasę.

Kilka informacji o Nowym Jorku: posiada kompleks 10 tysięcy kilometrów wodociągów wpuszczonych w ziemię, połączonych

z 800 tysiącami domostw i 100 tysiącami hydrantów, woda pochodzi z 21 zbiorników, znajdujących się w północnej części stanu Nowy Jork, włączając w to wielkie podziemne akwedukty i największy na świecie zbiornik słodkiej wody pod jeziorem na State Island. Moloch ten codziennie zużywa ponad 5 miliardów litrów wody. Ameryka to piękny i rozległy kraj, nad miarę bogaty. Oszłamia mnie i przeraża jednocześnie. Oszłamia pięknem, wielkością i różnorodnością, bogactwem i dobrobytem, rozmachem i techniką, ba – supertechniką, swobodą życia, olbrzymimi sklepami – kombinatami handlowymi, gdzie kupisz wszystko czego zapragniesz (nawet polską szynkę w puszkach „Krakus” i to przecenioną, u nas niedostępną) i wieloma jeszcze, bardzo wieloma rzeczami. Przeraża zaś zagubieniem i samotnością w tłumie, brakiem naszej słowiańskiej serdeczności i ciepła, przeraża w końcu dolarem-bożkiem. Tu właściwie głównie tylko on się liczy, ma znaczenie i wartość.

Tu i Polacy stają się inni. Tak bardzo inni. Są ich w Nowym Jorku tysiące, cała dzielnica Greenpoint na Brooklynie. Krąży tutaj powiedzenie: „Uważaj na wszystkich, ale najbardziej wystrzegaj się Polaków”. Bo Polak Polaka obrobi z pieniędzy. Polak, który w imieniu bosa kieruje pracą kilku robotników, nie wypłaci ci zarobku. Polakowi płacić musisz drożej za mieszkanie w jego domu, za towar w jego sklepie. Ale dla równowagi należy spojrzeć na to i z drugiej strony, gdyż ci, którzy przyjeżdżają tu na krótko, by tylko zarobić i uciec do kraju, też wcale nie są aniołami, a właściwie to bardzo rzadko wśród nich spotkać można anioła. A kto się raz i drugi na takich zawiódł, to potem i uczciwych tą samą miarką mierzy, bo przecież nikt uczciwości ani draństwa na czole nie ma wypisanego.

Wśród przyjeżdżających tu na krótki okres czasu, są grupy z różnych regionów naszego kraju. I w grupach tych głównie się wspierają zarówno w pomocy załatwienia pracy, mieszkania, jak i w życiu towarzyskim. I jeśli nie jesteś z ich regionu często nie masz co szukać u nich pomocy i wsparcia. Różnie się tu ich nazy-

wa, każdy niemal region z Polski ma tu swój przydomek. Są więc „śledziki”, „łomżyki” i „kołki”, „wojtki”, „przecinaki”, „czereśniaki” itp. – wszyscy zaś to „wakacjusze”, którzy przyjechali tu zarobić pieniądze i wielu z nich cała ta Ameryka nie obchodzi w ogóle, poza szelestem zielonych papierków, szybko przeliczanych na aktualne kursy w Polsce. Ot i cała ich filozofia. A zdobywać te zielone papierki trzeba ciężką pracą i kosztem wielu wyrzeczeń.

Ja mam szczęście, nie jestem tu sam, wokół mnie tyle bliskich serdecznych i życzliwych osób: Jaśko i Marynia z dziećmi, Rysiek, Marian, Edek, Zygmunt, Wiesiek, Andrzej – wymieniam tych najbliższych z dużą wdzięcznością.

*

Ameryka „wakacjuszy” jest jednak inna od naszych, tam w Polsce, o niej wyobrażeń. Żeby ją poznać, trzeba tu być, wszystkiego spróbować, powąchać, doświadczyć. W ogóle jest to świat w stosunku do naszego zupełnie inny i inne nim rządzą prawa ekonomiczne. Życie można tu sobie ułożyć. Dobrze i syto ułożyć, jeżeli przyjeżdża się z postanowieniem pozostania tutaj, by tutaj tworzyć i układać swoją przyszłość. I wielu z czasem całkiem nieźle się odnajduje w tych nowych warunkach, w tym nowym dla nich świecie. Ale to z czasem. Bo jest jedna rzecz, która wielu nie daje spokoju, która u wielu koryguje ich wcześniejsze decyzje i postanowienia: przemożna tęsknota. Za rodziną, za domem, bliskimi i przyjaciółmi, za Polską. Tego nie można sobie wyobrazić, trzeba tu być, by uczucia tego doznać. U wielu osiąga ona niejednokrotnie stan depresji psychicznej, pogłębianej nieznaną języcznym, wieloma trudnościami, jakie napotyka tu na każdym kroku, izolacją środowiskową, odmiennością kulturową, wielokrotnie degradacją społeczną, oddaleniem psychicznym i fizycznym – osamotnieniem. Stąd też dla wielu to zbyt wysoka cena i nie potrafią sobie z tym wszystkim poradzić. Wówczas albo szybko wracają do kraju, albo po jakimś czasie spotkać ich można

chodzących bez celu po Greenpoincie, wymachujących rękami, malujących sufit w parku (tak tu nazywają tych, którzy sypiają na parkowych ławkach). Osobiście jeszcze nie zdecydowałem, do której grupy przystanę.

Są i tacy, którym bogactwo, jakiego dotykają za ledwie, przewraca w głowie, rodzi agresję zysku, niszcząc w nich wszystko inne. Najwięcej jest jednak chyba tych, którym Ameryka, jakiej tu doznają, sprowadza do właściwych rozmiarów ich dotychczasowe widzenie życia i świata.

15 VIII 1986 (piątek)

Strzeliste wieżowce Manhattanu dosięgają błękitnego nieba, lśnią w porannym słońcu, przeglądając się w nurtach Hudsonu. Tylko jednostajny poszum, stłumione dudnienie, dobiegające do nas, pracujących naprzeciwko na drugim brzegu rzeki, świadczą o pulsującym życiu Nowego Jorku. Tu, w Edgewater, cisza, szum drzew, delikatny szelest trzciny i plusk wody o brzeg zatoczki, w której syte już ptaki sennie kołyszą się na fali przyływu i to nieustanne granie cykad. Kolejny upalny dzień sierpniowy. Słońce wypłynęło już zza wysokich drzew i grzeje niemilosiernie. Ciężko pracować w czasie upału. Pora „lanczu” daje chwilę odpoczynku.

Obok miejsca naszej pracy mieszka Dżan ze swą żoną i dwójkiem małych dzieci. Oboje zawsze życzliwi, zawsze radośni, przyjaźni. Gdy w ogrodzie na ruszcie (grillu) pieką „czikeny” (kurczaki), żona Dżana podaje i dla nas, życząc smacznego. W drugim sąsiedzkim domu mieszkają dwie samotne panie: matka staruszka z córką w średnim wieku. Obie też bardzo miłe, gdy przechodzą obok uśmiechają się przyjaźnie, pozdrawiają. Czasem pomagamy im w drobnych pracach w ogrodzie. Są wdzięczne, częstują kawą i jedzeniem, opowiadają chętnie o sobie, pytają o Polskę (Wiesiek najlepiej z nas zna angielski, więc głównie on wszystko tłumaczy).

Wczoraj nasze sąsiadki odwiedziła koleżanka córki. Siedziały na tarasie i obserwowały jak pracujemy. Chciały powiedzieć nam coś przyjemnego i gdy przyjechał na budowę Sem, poprosiły go, by nauczył je po polsku jakiegoś miłego zwrotu. Sem chętnie się zgodził, widząc w tym dla siebie wspianą okazję do ubawu. I gdy poprosił nas, byśmy podeszli, bo panie mają dla nas coś miłego do powiedzenia, wówczas wszystkie trzy z uśmiechem i radością wyrecytowały:

– Chcemy się z wami kochać całą noc (słowem kochać zastąpiłem tu inne, całkiem nie do powtórzenia w tym tekście).

Żyd skręcał się ze śmiechu, panie były zdezorientowane, a my zaskoczeni i zażenowani tak odważną propozycją.

16 VIII 1986 (sobota)

Minął kolejny dzień upalny i parny. Wieczorem z Marianem jedziemy do Jersey City do Ryśka i razem z nim do Janków do Pensylwanii. Po drodze spotkała nas wielka burza z ogromną ilością błyskawic i piorunów. Ulewa była tak wielka, że samochody musiały się zatrzymać, gdyż nie było widać drogi. U Janków byliśmy z dużym opóźnieniem, około 30 minut po północy. Czekali na nas, gdyż wcześniej Rysiek powiadomił ich telefonicznie o naszym przyjeździe. Marysia poczęstowała nas specjalnie przygotowanym przez nią polskim bigosem – z odpowiednią ilością mięsa i innymi przyprawami. Był tak wspianą, że wciąż czuję jego smak.

U Janków czekała na mnie również miła sercu niespodzianka. List od Ewuni, który wysłała w poniedziałek 7 lipca z poczty w Lelisie, gdyż w niedzielę ze swą babcią Stasią, moją mamą, pojechała do Durlasów na kilka dni wakacji i tam ten list napisała. Jest to najmiłszy mi list jaki w życiu otrzymałem.

Po śniadaniu z Jankami jedziemy do kościoła na Mszę świętą. Chcieliśmy też zrobić zakupy do paczek dla naszych rodzin w Pol-

sce i Marysia była nam niezastąpionym przewodnikiem i doradcą, co mamy kupić naszym żonom, co dzieciakom.

Przed odjazdem, jak za każdym razem kiedy u nich jesteśmy, Janki pakują nam wielkie torby różnych przetworów owocowo-warzywnych i mięsnych, robionych przez Marysię oraz wędlin, które Jaśko sam wyrabia z upolowanych zwierząt. Należy do stowarzyszenia łowieckiego, posiada uprawnienia myśliwego i odpowiada strzelby (kilka ich gatunków, w zależności na jakie zwierzęta poluje), więc w czasie dozwolonym (czego myśliwi tu rygorystycznie przestrzegają) jeździ z synem Danielem na polowania, potem sam przygotowuje bardzo smaczne wyroby wędliniarskie.

Zal od nich odejżdzać. Marysia i Janek są ogromnie życzliwi i troskliwi, dzieciaki ich przeurocze. Pożegnania zawsze są smutne, a odejechać trzeba. Całą swą rodziną asystują nam swym samochodem aż do głównej trasy. Około godziny 23 jestem już u siebie, w pokoiku na 8 Street na Greenpoincie.

20 VIII 1986 (środa)

Upalnie i słonecznie. Kiedy wreszcie skończą się te upały? Pracujemy od godziny 7 rano do 19, codziennie 12 godzin. Wczoraj stawialiśmy ścianę, dziś przygotowujemy taras do zalania podłoża betonem.

Rano, jak jedziemy do pracy promenadą, mijamy wielu biegających dla zdrowia nowojorczyków płci obojga. U nich to bardzo modne. Biegają aleją spacerową nad rzeką, ale i chodnikami ulic. Po zjeździe z mostu Waszyngtona, którym też wiedzie nasza trasa dojazdu do pracy, mijamy rozłożonych pod mostem dwóch „bumów” („wakacjuszy” – włóczęgów). Mają swój stary, poobijany jak ich życie samochód i blaszaną beczkę, w której palą ogień i szykują jakąś ciepłą strawę, stoją też jakieś połamane stołki, kartony, leżą plastikowe worki. Wiesiek mówi, że sporo

jest tu też takich „bumów” – Polaków, którzy tyle zarobili dolarów, że nie mają za co do Polski wrócić. Mówi też, że był tu raz w takim mieszkaniu, w którym dwaj Polacy, po dobrej wódce na kolanach chodzili po pokoju (bo na nogach utrzymać się nie mogli) i w pijackim amoku rozpaczali, kiedy oni swoje żony i dzieci zobaczą.

Gdy zajeżdżamy na teren budowy, zlatuje się też i dzikie ptactwo do zatoczki, przeczuwając, że jak codziennie za chwilę się pożywi. Więc raz kolejny zrzucamy z wysokiej skarpy pożywienie. O szopach też pamiętamy, wykładamy im pieczywo między szczeliny skalne, a one potem je zabierają.

Wracając z pracy wysyłamy przygotowane paczki do swych rodzin za pośrednictwem agencji „Bałtyk” pocztą express morski. Ja wysyłam swoją pierwszą, o wadze 24 funty (koło 12 kg).

23 VIII 1986 (sobota)

Obchodzimy bosa urodziny. Z tej okazji przywiózł nam sporych rozmiarów pudełko śledzi w śmietanie i butelkę wódki, którą razem z nim na zakończenie pracy wypiliśmy plastikowymi kubeczkami, zjedliśmy śledzie. Wręczył – jak zawsze w sobotę – tygodniową zapłatę.

24 VIII 1986 (niedziela)

Na godzinę 9 idziemy z Marianem do kościoła. Potem wszyscy czterej „budowlańcy” jemy w małej knajpce obiad i kolejką podziemną jedziemy na Canal Street na Manhattan, gdzie dużo sklepików mają Wietnamczycy. Kupiłem sobie budzik, dla Ewuni i Adasia maleńkie radyjka ze słuchawkami, w Polsce niedostępne. Będą mieli trochę radości.

25 VIII 1986 (poniedziałek)

Po powrocie nieco wcześniej z pracy jedziemy z Marianem do polskiego banku, gdzie zakładam książeczkę oszczędnościową i dokonuje pierwszej na nią wpłaty.

31 VIII 1986 (niedziela)

Ostatnia niedziela sierpnia. W kościele na Mszy świętą na Eagle Street. Poza Marianem i Ryśkiem spotkałem dziś kilka osób z Ostrołęki: panią Janinę, Janusza, Zygmunta, którego odwiedzam w jego mieszkaniu na Bedford Avenue. Potem przechadzamy się po Manhattan Avenue, jednej z głównych arterii greenpointzkiego organizmu – dzielnicy skupiającej nowojorską Polonię z coraz liczniejszą domieszką murzyńską i puertorykańską. Greenpoint swym wyglądem i małomiasteczkową atmosferą przypomina mi przeciętne, zamożne miasto powiatowe w Polsce. Wiele tu polskich agencji, sklepów i sklepików, masarni i piekarni, mowy polskiej, nie tylko tej literackiej, ale i swojsko soczystej, mieszającej się z mową „amerykańską”, napisów w obu językach zmieszanych ze sobą. Pełno tu też twarzy i tych zmęczonych Ameryką, przegranych, którym nie spełniły się sny i marzenia, i tych jeszcze pełnych nadziei, i tych pazernych, bezwzględnych i zachłannych, twarzy polskich „wakacjuszy”, z radością przyjmujących każdą pracę w żydowskich i włoskich „szopach” (warsztacikach, zakładzikach). Pełno tu też twarzy polskich sprzątaczek – „wakacjuszek”, pomocy do wszystkiego, tańszych od Murzynek i Portorykanek. I o wiele od nich solidniejszych w pracy.

Ktoś kiedyś powiedział, nie pomnę kto, że prawda o Greenpoincie jest i straszna i wielka. Straszna, bo tyłu tu już padło pod ciosami losu, i wielka, bo wielu, choć z wielkim trudem, ale pnie się w górę, by wyrwać się z tego emigracyjnego tygła.

Wielu tu nieudaczników, którzy przyjechali do Nowego Jorku szukać szczęścia, z nadzieją, że zrobią tu "karierę". Ale nie wyszło, więc stają się coraz bardziej sfrustrowani, swe żale coraz „głębiej” topią w alkoholu.

Tyle było nadziei, tyle jest rozczarowań.

I gdy tak idąc ulicą patrzę na ten tłum twarzy Polaków i na każdej oddzielnie widzę, jak bardzo prawie każda jest samotna, zagubiona w tym tłumie. Brak tu ich rodzin, brak bliskich osób, przyjechali tylko po to, by zarobić jak najwięcej. Więc ciężko pracują. I tak myślę też, że gdyby nie ten robotniczo-wakacjusowski Greenpoint, gdyby nie te polskie sprzątaczkę – dziewczyny do wszystkiego, cały bogaty i wspaniały Long Island – dzielnica prywatnych, luksusowych i dobrze strzeżonych rezydencji, cała Upper East Side dystygowana i piękna dzielnica Manhattanu położona między Central Park i East River, gdzie jeden „apartment” zajmuje całe piętro wieżowca, to cały olbrzymi Nowy Jork – wszystko to już dawno utonęłoby w morzu śmieci, brudu, w obfitych odpadach jedzenia. To właśnie wszyscy ci z Greenpointu, robotnicy o zmęczonych twarzach, dozorczy i sprzątaczkę, ślusarze i śmieciarze, hydraulicy i wszyscy inni, miasto to utrzymują w należyтым porządku.

I myślę jeszcze gorzko, idąc tak po Manhattan Avenue, że za te wszystkie smutne, samotne w tłumie twarze, powinni wstydzić się ci, którzy doprowadzili do tego, że ci „wakacjusze” sprzątać muszą brudy w obcym kraju, zamiast swą pracą służyć swojej Ojczyźnie. A są wśród „wakacjuszy” przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. Dosłownie wszystkich!

Dziś, w ostatnią niedzielę sierpnia, w Mc. Gorlick Park w Brooklynie na Greenpoincie odbył się spektakl pt. *Koniec lata w poezji, pieśni, muzyce i tańcu*, zorganizowany przez Polski Kongres w Ameryce Oddział w Nowym Jorku oraz Polski Instytut Teatralny. Piękne widowisko. Obie te instytucje w ubiegłą niedzielę były również organizatorami, w tym samym parku, spektaklu *Wspo-*

mnienia o Powstaniu Warszawskim w opowiadaniach, piosenkach i muzyce. Wzruszające do łez.

*

W każdą niedzielę wszyscy ciągną do kościoła. Jest wiele świątyń, w których Msze święte odprawiane są w języku polskim. „Nasi” najchętniej jednak chodzą na Eagle Street lub do Świętego Stanisława Kostki. Najwięcej do Świętego Stanisława, bo to bardzo duży i piękny kościół i największe zawsze tu zgromadzenie. Wszyscy odświętnie ubrani, często i gęsto z pomieszaniem „amerykańskiego bogactwa” z brakiem dobrego gustu, co niejednokrotnie tworzy groteskowo-teatralne kreacje. U wielu panów spod rozpiętych głęboko koszul błyskają złotem na szyi grube łańcuchy, a na palcach olbrzymie pierścienie.

Przy wejściu do kościoła kilku panów rozdziela napływających wiernych, kierując ich w różne części świątyni, by bez tłoku zająć mogli wygodne miejsca w ławkach, równo ustawionych. Ci sami panowie zbierają ofiary, chodząc między rzędami ławek, a kapłan podaje chętnym Komunię świętą na dłoń, by sami mogli jej sobie udzielić. Wygodnie tu, sprawnie i równo, bez tłoku, bez spontaniczności, bez szczerego, gorącego rozmodlenia, jakie panuje w naszych kościołach w kraju. Wszystko jakby wyrachowane, wyliczone dokładnie jak dolar, podawany panom na ofiarę do koszyczka.

A po Mszy świętej wszyscy wysypują się na placyk przy świątyni, tworząc prawdziwą giełdę towarzyską. I to jest dla wielu właściwy cel obecności w kościele. Tu spotykają się po całym tygodniu pracy, wymieniają wiadomości i informacje, tu dowiedzieć się można gdzie jest wolne a tańsze mieszkanie, bo akurat ktoś odjechał do Polski, gdzie można „załapać się”, oczywiście „na czarno”, do pracy. Tu wreszcie dowiedzieć się można, kto z kim i od jak dawna, kto komu, kiedy, gdzie i za ile, kogo deportowali, a kto sypia w parku lub pod mostem, kto z Franią lub Hanią. Tu wszyscy, wszystko, o wszystkich.

Upadek lub przegrana bliźnich, wielu podnosi na duchu, do wartościowuje. Przegrywającymi się gardzi. Ale gdy ktoś wygrywa, gdy ktoś jest lepszy, takiemu zaczyna się zazdrościć, nawet puszczać w obiegi wyssane z palca plotki o nim. Ot, polskie piekielko, przeniesione aż tu, na Greenpoint, piekielko, w którym i diabła nie trzeba do pilnowania: gdy kto chce wyleźć z tego kotła, „przyjaciele” sami wciągną go z powrotem, a gdy legnie na dnie, deptać będą po nim.

1 IX 1986 (poniedziałek)

Dziś jest amerykańskie święto, coś jak u nas 22 Lipca. Więc Amerykanie świętują. Żyd Sem chce by się „stawało”, czyli by budowa szła do przodu, więc budujemy!

Podczas pracy i lunchu opowiadamy sobie często a to „kawały”, a to zasłyszane ploteczki, sensacyjne jakieś wydarzenia, to znów snujemy rozległe marzenia i plany, co będziemy robić z sobą i z małą garstką dolarów tu zarobionych, gdy będziemy już w Polsce, ze swymi najbliższymi. Marian opowiada, że pierwszą rzeczą, którą zrobi, to wyjedzie na wczasy z żoną i z dziećmi.

– A gdy już będziemy na tych wczasach – snuje dalej głośno swe marzenia – pójdziemy do najlepszej restauracji, gdzie przy dobrym obiedzie popiję sobie dobrze naszej polskiej wódki.

– O, lepiej nie ryzykuj! ORMÓ czuwa, zaraz cię zgarną i będzie po wczasach – życzliwie ostrzega go Wiesiek.

– Więc lepiej ty tego picia nie odkładaj, zrób to już dziś – zachęca go Andrzej.

– A i gniewu żony się ustrzeżesz za to picie – podpowiadam. – Polska wódka jest i tutaj, a my nie odmówimy ci swego towarzysztwa. I pomożemy. Prawda „wakacjusze”!? – zwracam się do Wieśka i Andrzeja.

– Nie odmówimy! I pomożemy!- wołają jednocześnie z rozbawieniem.

Serce skacze mi z radości. Po powrocie z pracy czekały na mnie aż trzy listy! Od Danusi, od Ewuni i od Adasia! Każdy napisał i wysłał od siebie, tak, jak ich prosiłem. Ich listy są dla mnie najcenniejsze. Dla nich przecież, dla naszego wspólnego dobra jestem tu "wakacjuszem". Właśnie dziś wysłałem im paczkę z owocami: 2 kilogramy cytryn i 5 kilogramów pomarańczy. Ucieszą się, bo to rarytasy, jakich u nas w Polsce nawet na święta nie uświadczysz.

Wiesiek wyrwał się dziś wcześniej z pracy do kolejki podziemnej: kupił mi trzy części (tomiki) powieści Zofii Mierzyńskiej *Wakacjuszka* i samouczek polsko-angielski.

Moja myśl dnia dzisiejszego:

Ile trzeba ludzkiego
cierpienia
by się szczęścia
jedną kroplą stało.

*

Kolega Wieśka cały tydzień pracował dla jakiegoś Polaka. Harował ciężko po kilkanaście godzin dziennie. Tamten otrzymał prywatne zamówienie, więc wynajął kilku „wakacjuszy”, którzy robotę wykonali. W sobotę po fajrancie postawił im wódkę, a jakże, i dał czeki do banku po pieniądze. Czeki były prawdziwe, ale konto puste! Facet wyjechał i już go nie odnaleźli.

*

Ciekawe tu pomieszanie polskich „wakacjuszowskich” hierarchii. Chłop, który w Polsce panu inżynierowi czy doktorowi w pas się kłaniał i unizenie prosił, by pan inżynier czy pan doktor jego prośbę zechciał łaskawie załatwić czy pomóc rozwiązać jego problemy, tutaj sam ukłony i grzeczne prośby pana inżyniera i pana

doktora łaskawie przyjmuje, stwierdzając wspaniałomyślnie, że wstawi się za jednym czy drugim u bosa, u którego ma już wyrobioną „markę”, i u którego akurat szykuje się wolne miejsce do pracy po kimś wracającym do Polski. Pan inżynier czy pan doktor akurat kilka dni temu przyleciał do Nowego Jorku i pilnie poszukuje roboty.

*

Józek ma żonę i kilkoro dzieci gdzieś w Białostockiem. Zocha zaś pozostawiła swych najbliższych w Rzeszowskiem. Oboje tworzą tutaj kochającą się parę. Wspólnie mieszkają, wspólnie do kościoła czule pod rączkę, za grzechy niby żałują, a po wyjściu ze świątyni znów pod rączkę i do wspólnego mieszkania, do wspólnego łóżka, pod jedną kołdrę. Razem chodzą do sklepów, razem robią zakupy dla swych rodzin, razem wysyłają im paczki. Zocha radzi Józkowi a Józek Zośce co do paczki włożyć, co napisać w liście do swych najbliższych. Józek niedługo odjeżdża do Polski, więc Zocha głośno rozpacza, jak ona będzie tu żyła bez niego. Rozpacz będzie krótka, bo miesiąc później Zocha też odjeżdża do swoich.

*

Piękne są tu, gdzie pracujemy, zachody słońca, gdy zorze nadchodzącego wieczoru, rozlewając swe barwy szeroko po horyzoncie, zlewają się z różnokolorową orgią światła, którymi rozpala się Nowy Jork na przeciwległym brzegu Hudsonu. „Płonie” cały Manhattan, blask zachodu odbija się w tysiącach okien, w szklano-aluminiowych ścianach wieżowców. Lśni, poraża wzrok. Na rzecznych falach dogasają srebrzyste iskierki, drżą smugi światła miejskich. A wysoko w górze, na czystym, coraz bardziej ciemniejącym błękitcie, coraz intensywniejszego blasku nabiera księżycowa pełnia. Od bladosej bieli przechodzi w srebrzystozłotą, sypie poświatą na Edgewater, na Manhattan i Hudson, na nasze głowy. Jak bardzo czuła jest chwila zjedwania światła dnia z poświatą wieczoru, jak urzekająca!

Podniecony tym urokiem chwili Sem pojechał po swoją Anitę. Przywiezie ją tu na ten brzeg, by razem doznać czułości tego wieczoru, tej pięknej nocy... My pakujemy się do naszego krążownika z ulgą, że kolejny dzień szczęśliwie za nami.

Do pracy i z pracy przejeżdżamy też obok Janke Stadium, nad którym olbrzymi elektroniczny termometr z daleka informuje nas o aktualnej temperaturze.

5 IX 1986 (piątek)

Kolejne listy od najbliższych z Polski, z Ostrołęki. Ile radości sprawić może kilka zwykłych, ciepłych słów, że żyją, że zdrowi, że pamiętają i też tęsknią... To olbrzymia siła, tłocząca w ciebie – „wakacjusza” – potężny optymizm. Bo mimo wszystko ciężko jest tu żyć z tą przemożną tęsknotą, z tą cholerną nostalgią. A mija dziś dopiero dwa miesiące mojego pobytu w tej „mlekiem i miodem płynącej” Ameryce.

Z listu do córki:

na dobranoc ci moja
córeczko
zamiast bajki opowiem
swój dzień:

świt mnie nocy zmęczonej
odbiera
gorzkiej prawdy
podaje pierwszy łyk

potem drugi trzeci następny
bym się życiem jak
szczęściem zachłysnął
bym do końca poznał jej ból.

*

Kamil – jeden z moich kolegów „wakacjuszy” – bardzo skupiony nad kartką papieru. Pisze list do żony. Pytam, czy w liście pisze jej czule słowa i mówi o miłości.

– Tak! – odpowiada z zadowoleniem. – W nagłówku zawsze piszę „Kochana Zono!”.

*

Życie Nowego Jorku toczy się swym rytmem niezależnie od pory roku. Ciągły gwar, ruch, pośpiech, przelewający się tłum: wszystko co dobre i złe, prawe i nielegalne, miesza się nieustannie, pulsuje. Tu można wiele zyskać i wszystko stracić. Zofia F. straciła. W Polsce była bardzo znaną, popularną i lubianą piosenkarką. Śpiewała w duecie z mężem, ich piosenki były przebojami. Śpiewała je cała Polska. Przyjechała do Nowego Jorku robić karierę. Na początku wszystko było OK. Ale tutaj są inne warunki i zasady życia. Zofia zlekceważyła je, a może nie potrafiła zaakceptować? Później śpiewała w restauracjach, w barach Greenpointu za obiad, za kieliszek koniaku. Gdy zmarła uroczystość pogrzebowa odbyła się w kościele pod wezwaniem Świętego Cyryla i Metodego na Eagle Street. Znajomi i przyjaciele złożyli się na skromny dla niej pogrzeb.

Wielu tu było i jest takich jak Zofia.

*

Jesienne chmury
potargał wiatr,
ciebie tu niema
smutnieje świat...

parafrazujemy tekst przebojowej piosenki znanego polskiego zespołu i śpiewamy podczas pracy, spoglądając coraz częściej na niebo pełne białych, leniwych obłoków, wygrzewających się w jesiennym już słońcu. Tylko startujące, gdzieś za Manhattanem

samoloty rozrywają swym hukiem rozleniwioną ciszę. Codziennie rano i przed wieczorem z precyzyjną dokładnością co 60 sekund wznoszą w górę swe ciężkie, olbrzymie cielska, płyną nad Manhattanem, nad Hudsonem, nad naszymi głowami .

Patrzemy na nie marząc o własnych odlotach...

*

ile trzeba mieć w sobie nadziei
by zakwitła radosną bielą sadów
owoc przepowiadającą

wiary ile trzeba
by pojednać w sobie wszystkie krzyże
przyjaciół i wrogów

i ile potrzeba cierpienia
by wypłynęła z niego
jedna kropla miłości

Piotruś – inżynier z Warszawy – dobry znajomy moich przyjaciół Edka i jego siostry Władzi – młody, zdolny, w Polsce pracował w instytucie naukowym. Miał piękną, lubiącą stroje i wygodne życie żonę, a nie miał pieniędzy, gdyż w instytucie niewiele zarabiał. Żonę kochał miłością wielką i ślepą. Pragnął zaspokoić każdą jej zachciankę. Przyjechał więc tutaj. Miał dobry start, znał język. Harował w godzinach i nadgodzinach. Zarabiał dobrze. Część odkładał, główną zaś sumę przekazywał żonie w postaci wielkich paczek z ubiorami, żywnością oraz w postaci gotówki na konto w Warszawie. Nie było tygodnia, by jej czegoś nie wysłał. Przysłano i jemu wiadomość o niej: „jeżeli chcesz mieć żonę to zabierz ją już dziś do siebie lub sam jeszcze dziś wracaj. Jutro już będzie za późno”. Nadmiar luksusu rozkaprysił i tak już rozkapryszoną. Miała pieniądze, gest, lubiła się bawić, o resztę nie musiała zabiegać. To o nią zabiegano.

Na Piotrka zawaliło się siódme niebo, w którym dotychczas bujał. Poczul się samotny, oszukany i opuszczony. Wpadał w coraz dłuższe ciągi alkoholowe. Raz i drugi zawalił pracę, więc ją stracił. Sięgnął do niewielkich dolarowych zapasów. Te szybko się wyczerpały, nie miał czym zapłacić za mieszkanie, musiał je opuścić. Tak zaczęło się dla niego „nowe życie”. Rozpoczął „malowanie nieba” w parku. Przyjaciele, tacy prawdziwi, od serca, nie od kielicha, z dużym wysiłkiem pomogli mu się wygrzebać. Znowu podjął pracę. Wytrzymał pół roku. Zbyt głęboki był ból, życiowe zatracenie, zbyt mocne psychiczne załamanie. Poszedł na całego... Przegrał swoje życiowe szanse, teraz topi żale i frustracje w alkoholu.

11 IX 1986 (czwartek)

Słonecznie i ciepło, lecz powietrze już wciąż chwyta zapachy jesieni, wiatr strąca z drzew pierwsze więdnące liście, w swych powiewach niesie jesienny niepokój. Pędy bluszczu czy dzikiej winorośli, oplatające stare wysokie drzewo rosnące obok miejsca naszej pracy, zaczynają płonąć niepokojącą czerwienią.

Marian namówił dziś Sema, by zabrał nas, oczywiście na jego koszt, do chińskiej restauracji na Manhattanie. Na początek w pucharkach podano nam bardzo smaczną, aromatyczną herbatę i jakąś krajanekę (forma paluszków), następnie bardzo ostrą i smaczną zupę a'la flaczki, potem trzy różne półmisy (według nas – drugie dania), a na każdym z nich inne potrawy, wszystkie z dużymi bukietami warzyw, przypraw, do tego ryż na sypko, jakieś grzybki, strąki, sosy – dla nas wszystko bardzo egzotyczne. Na deser maleńkie i też bardzo smaczne ciasteczka, wewnątrz których znajdowały się karteluski z wypisanymi na nich różnymi hasłami przepowiedniami (każde inne), co czeka w najbliższym czasie znalazcę tego hasła.

„Bumy” – nowojorscy włóczędzy, bez pracy, bez domu, bez celu. Żyją z tego, co wygrzebią ze śmietników (a wygrzebać tu można wiele), co ofiarują ludzie i co da państwo poprzez różnoraki system zasiłków i form opieki. Spotkać ich można wszędzie. Śpią w zaułkach, na parkowych ławkach, w tunelach i pod mostami lub leżąc wprost na chodnikach, zawinięci w stare koce, w znalezione stare płaszcze czy tekturowe pudła. Mają też swoje noclegownie, domy opieki, przytulki itp., lecz z tych korzystają raczej zimą i w niepogodę.

„Bumy” to ludzie bezdomni bardzo często wcale nie z biedy, a po prostu z wyboru, z poplątanego życia, i wcale nie tęskno im do tego lepszego świata. Są zadowoleni, że mogą spać pod mostem, żywić się odpadami, których znajdują obfitość, a w porze obiadu zgłaszać się po darmowe zupy. Są wśród nich Portorykanie, Murzyni, ludzie, którzy nie chcą mieć stałej pracy i obowiązków. Są również Polacy (nie mogło i tu nas zabraknąć). Jest ich wielu. Ba, są i nasi kurpiowscy rodacy. Z samej Ostrołęki też. Rano rozchodzą się po całym mieście, zbierają puszki po piwie i napojach, które sprzedają w automatach i punktach skupu, trochę żebrzą. W południe gromadzą się na darmowe obiady dla bezdomnych i znów idą „zarabiać”, by na wieczorne spotkanie w umówionym miejscu móc przyjść z butelką piwa, wódki, z paczką papierosów. Wśród polskich „bumów” są tacy, którzy niedawno znaleźli się na tej drodze, ale są i ze stażem kilku a nawet kilkunastoletnim. A jaka wśród nich różnorodność zawodów! Od zwykłego robotnika w fabryce i rolnika, właściciela 50-hektarowego gospodarstwa w Białostockiem, aż do adiunkta jednej z polskich politechnik. Niektórzy z nich mają tzw. zielone karty, reszta to turyści – „wakacjusze”. Najczęściej są to ci, którzy przyjeżdżają tutaj na ”załatwione” (kupione) zaproszenia. Przyjeżdżają więc, nie mając tu nikogo, nie znając nawet słowa języka angielskiego. Są bezradni, mają duże trudności ze znalezieniem pracy, jeszcze większe ze znalezieniem

pomocnej dłoni. A samotność, zagubienie w obcym świecie do-
skwiera okrutnie, draży głęboko. Więc kieliszek na zapomnienie.
Potem drugi i trzeci... Utrata z trudem znalezionej pracy. I tak to się
zaczyna. Albo tak jak u Piotrusia, o którym wspomniałem. Albo
jeszcze inaczej. Jest ku temu wiele możliwości. Bardzo wiele...

W polskiej dzielnicy Nowego Jorku od ponad trzydziestu
lat istnieje schronisko („schelter”) dla bezdomnych mężczyzn.
Otrzymują oni tutaj posiłki i nocleg. W ciągu ostatnich lat liczba
bezdomnych osiągnęła kilka tysięcy osób i trzeba było na ten cel
przeznaczyć dodatkowe pomieszczenia i pieniądze.

Od czasu założenia „schelters” wzrosła na Greenpoincie licz-
ba napadów rabunkowych z bronią w rękę, kradzieży i różnego
rodzaju przestępstw.

Napady rabunkowe na Greenpoincie są bardzo częste.
Napastnikami są ludzie młodzi, którzy „obskakują” błyskawicznie
samotnego przechodnia w miejscach wyludnionych, w zejściach
do podziemnych stacji kolejki, w bocznych uliczkach, późną nocą.
Policja nie bardzo umie poradzić sobie z narastającą falą przestępstw.
„Obskoczony” przez bandę (kilka do kilkunastu osób) przechodzień
przeważnie ma przygotowane w kieszeni kilka czy kilkanaście
dolarów na taką ewentualność. Jeżeli nie ma, jego ubranie lub
on sam może być pocięty żyłką, pobity i okaleczony. Jeżeli ma,
ale niezbyt wiele, może go spotkać to samo. Zachętą dla rabusiów
do śmielszego działania jest bariera językowa ofiar. Napastnicy
wiedzą, że większość napadniętych nie jest w stanie zgłosić napadu
na policję z powodu nieznamomości języka angielskiego.

12 IX 1986 (piątek)

Pogodnie, ciepło słonecznie. Ale drzewa coraz bardziej roz-
palają się jesienią. I Hudson jakby posmutniał, poszarzał nieco,
fale przyływu stały się bardziej niespokojne. Ptaki też jakby

bardziej niecierpliwe. Po śniadaniu dwie gęsi bezlitośnie tłuką się dziobami. O żarcie czy o władzę w stadzie? Chleba rzuciliśmy im dużo, więc nie o żarcie chyba się biją. Część pozostałych otoczyła je półkołem, dopingując i zagrzewając do walki przeraźliwym wrzaskiem. W końcu następuje przesilenie walki. Zwycięzcy wysoko wyciąga szyję z głośnym okrzykiem zwycięstwa. Pozostałe, które dopingowały walkę, teraz nisko wyciągają szyje w kierunku zwycięzcy z przymilnym (pochlebnym?) hurra – gęganiem. Oddają hołd, gratulują, wyrażają podziw czy „podlizują” się tej, która u władzy? Zwyciężona zaś i opuszczona przez wszystkie ptaki, odpływa na bok, gdzie przeżywa swą porażkę w całkowitym osamotnieniu. Z wolna ucisza się w stadzie. W zatoczce znów zapanał spokój. A ja myślę, że skądinąd znam spektakle podobne temu, którego przed chwilą byłem świadkiem. Z tą tylko różnicą, że nie w wykonaniu ptaków...

Po pracy zajeżdżam z Marianem do Zygmunta. Ustalamy (po rozmowie z właścicielką domu), że od jutra przeprowadzę się ze swego mieszkania przy 8 Street do tego, w którym mieszka Zygmunt, przy Bedford Avenue, też na Greenpoincie.

13 IX 1986 (sobota)

Dzień słoneczny, ciepły i pogodny. Wieczorem, po przyjeździe z pracy (między godziną 20 a 21), przeprowadzam się na nowe mieszkanie. Pomagają mi w tym Zygmunt i Marian.

14 IX 1986 (niedziela)

Razem z Zygmuntem idziemy na Mszę świętą do kościoła na Eagle Street. Jest słonecznie i ciepło. Na Manhattan Avenue, w przyległym do polskiej księgarni budynku, wystawa zdjęć i dru-

ków ulotnych o zamordowanym księdzu Jerzym Popiełuszcze. Wyświetlany jest również 40-minutowy film z jego pogrzebu. Wstrząsające sceny. Ludzie oglądają w ciszy i skupieniu, mają łzy w oczach. Płaczą.

Przed wieczorem z Marianem i Wieśkiem idziemy do dużego pawilonu spożywczego Key Food – kupujemy różne produkty żywnościowe do paczek, które raz kolejny będziemy wysyłać naszym najbliższym w Polsce.

27 IX 1986 (sobota)

Z Marianem i Ryśkiem jedziemy do Janków, do Pensylwanii, Ryśka samochodem. W niedzielę po obiedzie z Jankiem odwiedzamy jego znajomych farmerów, mających swe farmy w pobliżu Old Forge, u których on od lat zaopatruje się w owoce i warzywa. Kupujemy bardzo tanio (w porównaniu z cenami w N.Y.) po koszu jabłek, śliwek i pomidorów. Wokół przepiękne krajobrazy, chciało by się tu zostać. W ogóle Pensylwania to widokowo precudna kraina. Marysia i Janek są szczęśliwi, że tutaj właśnie mają swój dom.

3 X 1986 (piątek)

Za pośrednictwem agencji wysyłam kolejną paczkę swym najbliższym. Głównie z żywnością, dokładam trochę odzieży dla Dany, Ewuni i Adasia. Przedwczoraj podałem dla nich list przez odjeżdżającego do Ostrołki jednego z „wakacjuszy”. Jest taki piękny zwyczaj, że gdy ktoś odjeżdża do Polski daje mu się dolara i list z nazwiskiem i adresem odbiorcy. On w Polsce nakleja znaczek i wrzuca do skrzynki pocztowej, a listonosz go doręcza. A gdy mieszka w tym samym mieście doręcza osobiście.

*

W Nowym Jorku prawie każda grupa etniczna ma swoją paradę. Polacy mają Paradę Pułaskiego. Organizowana jest od ponad pięćdziesięciu lat, w pierwszą niedzielę października. Występują w niej Polacy ze stanu Nowy Jork i oddzielonego od niego rzeką Hudson stanu New Jersey, przybywają jednak mniejsze delegacje z wielu innych stanów. Miejscem parady jest Piąta Aleja na Manhattanie (w okolicy 25 Ulicy). Niegdyś prym w paradzie wiodły – jak głośno wspominał stojący obok mnie starszy pan, wsparty na laskę – organizacje weterańskie. Dziś rej wiodą parafie, prowadzone przez ubranych we fraki swych proboszczów oraz notabli. W tym roku przybył nawet sam burmistrz Nowego Jorku Edward Koch, prawdopodobnie rodem z naszej Ostrołęki.

Każdego roku wybierany jest marszałek parady lub marszałkowa. Tym razem jest nim stanowy senator z Nowego Jorku, Bartosiewicz, mieszkający na Brooklynie. Jechał on w otwartym samochodzie na czele pochodu, który ruszył do parady punktualnie o godzinie 13.00. Przed nim maszerował konny poczet sztandarowy policji nowojorskiej oraz orkiestra US Army, grająca polski i amerykański hymn narodowy. Cała parada jest radosnym i barwnym widowiskiem: grupy taneczne, powozy z orkiestrami, orkiestry marszowe, taniec, muzyka śpiew. Zwyciężczynie (stanowych, miejskich, dzielnicowych i parafialnych) konkursów na najpiękniejsze dziewczyny z samochodów pozdrawiają tłumnie zebranych wzdłuż trasy widzów. Rozwiązanie parady następuje przy 52 Ulicy.

*

W supernowoczesnym klubie „Scorpions” przy skrzyżowaniu dróg North Ave w Elizabeth N.J. w piątki i soboty od godziny 20 do 2.30 rano i w niedzielę od godziny 20 do 1.30 rano gra znakomita orkiestra Leszka Świerszcza, a śpiewa Beata A. Beata to ostrołęczanka, miła, piękna i zdolna dziewczyna, która karierę

rę piosenkarską rozpoczęła w Polsce piosenką *Nie mijaj wiosno* i wystąpiła w programie telewizyjnym w popularnym wówczas spotkaniu z Aleksandrem Bardinim. Występowała też na festiwalu w Opolu, gdzie cieszyła się aplauzem publiczności, później wyjechała do USA i w "Skorpion's" można teraz posłuchać jej pięknego śpiewu.

*

Z zaproszenia-ogłoszenia. W każdy piątek, sobotę i niedzielę dyskoteka „U Glorii” w Greenpoint przy Nassau Avenue. Intymna atmosfera, miła obsługa, najnowsze przeboje dyskotekowe oraz najnowsze nagrania z Polski. Wstęp wolny i tylko dla osób powyżej 21 lat. Płaci się za konsumpcję.

Na ogólne żądanie tutejszej młodzieży w sierpniu otwarto również „Polską Dyskotekę” w Greenpoint przy Drigs Avenue na Brooklynie w Polskim Domu Narodowościowym, gdzie najnowsze przeboje dyskotekowe świata prezentują dwaj polscy dysk-jockeys Darek i Darek. Disco od godziny 9 wieczorem do 1 po północy. Wstęp 5 dolarów, dla młodzieży poniżej lat 21 – do dyspozycji bar bezalkoholowy.

*

Przy Nassau Avenue w Gereenpoincie na Brooklynie znajduje się sklep „Narew” z odzieżą, kosmetykami, biżuterią, środkami leczniczymi, takimi jak pasy i opaski przeciwreumatyczne, a także bransoletki regulujące ciśnienie i innymi towarami. Bardzo przyjemny sklepik, z miłą, jak wszędzie tutaj, obsługą.

*

Edek pomagając mi pakować paczkę do moich najbliższych do Polski przykrył kawałkiem gazety polonijnej „Nowy Dziennik” (która jest tu popularną gazetą codzienną) szczelinę na dnie kartonowego pudła, do którego pakowaliśmy wysyłane przedmioty. W Gdy-

ni, w czasie kontroli paczki, skonfiskowano ten kawałek gazety, a do żony przysłano poważne w formie i treści ostrzeżenie, że będzie wszczęte dochodzenie, ponieważ jest to polityczne przestępstwo, afery politycznej, czy coś w tym rodzaju. Przestraszona mocno tym oskarżeniem żona przysłała mi list rozpaczliwie informując, że przy powrocie do kraju mogę być za to nawet zatrzymany. Boże ty mój, strzęp nowojorskiej gazety polonijnej „Nowego Dziennika”, a dokładnie chyba niedzielnego dodatku literacko-społecznego, bo tylko ten dodatek odkładałem, wywołał tyle trwogi u polskich władz kontrolnych, które widocznie były przekonane, że tym strzępem gazety, leżącym na dnie paczki, cały ustrój socjalistyczny PRL wysadzę w powietrze! To było przerażające!

*

„Nowy Dziennik” – codzienna popularna gazeta Polonii Amerykańskiej, ten sam, którego strzęp przez nieuwagę włożony został do paczki wysyłanej do Polski i omalże nie wysadził PRL-u w powietrze – o czym w zapisie wyżej – poinformował o niedopuszczalnych praktykach, jakich władze PRL-u użyły właśnie wobec Anki Kowalskiej, znanej poetki i powieściopisarki (autorki m.in. powieści *Pestka*, która stała się bestsellerem), członka KOR i KSS KOR. Odmówiono jej paszportu na wyjazd do Paryża, gdzie w roku 1983 w Szpitalu Pitier Salpetiere została poddana bardzo poważnej operacji protetycznego zastąpienia aorty brzusznej. Teraz zachodzi konieczność kontroli skuteczności operacji, kontroli klinicznej i biologicznej. Stan zdrowia pisarki pogarsza się, co potwierdził w swej opinii lekarz wojewódzki w Warszawie. Odmowna decyzja władz polskich w tej sprawie zagraża zdrowiu i życiu pisarki. „Nowy Dziennik” sugeruje, aby Kongres Polonii Amerykańskiej Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie „Medicus” wystąpiły z interwencją w Warszawie jak i na forum międzynarodowym do Czerwonego Krzyża w Genewie i Międzynarodowej Organizacji Zdrowia Narodów Zjednoczonych.

*

Na moło, między 50 Ulicą a Hudson River na Manhattanie, zorganizowano jeden z największych pokazów kwiatów: ponad trzydzieści urządzonych ogrodów na zewnątrz i wewnątrz oraz ukwiecone balkony i tarasy. Tysiące przeróżnych kwiatów z całej Ameryki. Coś niepowtarzalnie pięknego!

19 X 1986 (niedziela)

Słoneczny i ciepły, piękny dzień jesienny. Druga rocznica męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. W nowojorskiej metropolii, w samym centrum polskiej dzielnicy Greenpoint odbyła się bardzo ważna dla Polaków uroczystość nadania jego imienia jednemu z brooklyńskich placów. Poprzedzona ona została Mszą świętą w kościele pw. Świętego Stanisława Kostki. Ta obszerna świątynia była szczelnie wypełniona wiernymi, setki osób stały przed kościołem. Przybyli weterani ze sztandarami, jest dużo kwiatów, białych i czerwonych. Z boku ołtarza obraz księdza Jerzego, przepasany biało-czerwoną wstęgą. Mszę świętą koncelebrował ksiądz proboszcz parafii w asyście sześciu innych kapłanów. Na zakończenie Mszy świętej odśpiewano *Rotę* i *Boże coś Polskę... – Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie*. Następnie Kongres Polski uformował pochód na czele ze sztandarami i obrazem księdza Jerzego, niesionym przez harcerzy i młodzież w strojach narodowych.

Plac, który od dziś nosił będzie imię Księdza Jerzego Popiełuszki, położony jest pomiędzy alejami Bedford i Nassau. Zebrało się na nim około 6 tysięcy osób. Chór „Aria” z Wellington (New Jersey) odśpiewał hymny Polski i USA. Uroczystość rozpoczął inwokacją ksiądz biskup Brooklynu Francis Mugavero. Mayor Edward Koch zapewnił w swym wystąpieniu, że nazywając plac w Nowym Jorku imieniem bohaterskiego kapłana polskiego, nie tylko mieszkańcy polskiego pochodzenia ale wszyscy mieszkańcy

miasta nie zapomną ofiary życia, którą w imię prawdy i wolności złożył ksiądz Jerzy Popiełuszko. Przemawiał również senator stanowy Tom Bartosiewicz, który osobiście znał księdza Jerzego, oraz inne osobistości.

Nastąpił uroczysty moment odsłonięcia tablicy z napisem: „Father Jerzy Popiełuszko Square”. Chór Świętej Cecylii odśpiewał *Gaude Mater Poloniae* i na zakończenie wraz z uczestnikami uroczystości *Boże, coś Polskę*. Kongres Polonii Amerykańskiej podjął starania stworzenia szerokiego komitetu obywatelskiego budowy pomnika księdza Jerzego Popiełuszki.

Wieczorem piszę listy od domu, do muzeum, do przyjaciół i pakuję kolejną paczkę dla swych najbliższych: prezenty dla wszystkich trojga, odzież, różne słodczyce, wyroby czekoladowe, czego u nas nie uświadczysz a co dzieciakom przyniesie wiele radości.

*

Prasa polonijna donosiła, że w Arlington pod Waszyngtonem odbył się ślub Anny Marii Anders, córki gen. Władysława Andersa i Ireny Renaty Andersowej, z pułkownikiem armii amerykańskiej Robertem Alexandrem Costa. Na ślub przyjechała z Londynu matka panny młodej i z Florydy przyrodnia jej siostra Hanna Nowakowska z mężem Andrzejem.

1 XI 1986 (sobota)

Dzień Wszystkich Świętych. Myślę o grobach naszych bliskich na ostrołęckim cmentarzu, oczami wyobraźni widzę jak Ewunia z Adasiem zapalają znicze, Ewuni gaśnie zapalka więc wybiera drugą z pudełka...

Wieczorem z Ryśkiem jedziemy do Janków. Marian się rozchorował więc zostaje. Zajeżdżamy już dość późno, ale Janki jak zawsze na nas czekają.

W niedzielę po kościele i po obiedzie jedziemy do pawilonów handlowych zrobić zakupy do paczek do Polski. Marysia jak zawsze jest naszym niezastąpionym przewodnikiem i ekspertem – doradcą. A wieczorem wracamy, obdarowani przez Marysię i Jaśka produktami spożywczymi (załadowany pełen bagażnik). Kochane Janki, ciężko byłoby tu bez nich żyć. Są całą naszą, szczególnie moją, ostoją.

Nocą późną gdy śpią już
ulice
i Stróż Anioł mój drzemie
zmęczony
patrzę w niebo otwarte
nade mną
liczę godzin serdeczne
westchnienia

gorzki jest kolor nieba
obcego
tęsknoty tyle w oczach mają
gwiazdy
że trudno przełknąć kęs
radości
udźwignąć ciężar
pamiętania ...

5 XI 1986 (środa)

Dziś mija cztery miesiące od mojego przyjazdu do Stanów. W przerwie na lunch myślę o swoim domu, o najbliższych, o tym, że za chwilę, za kilka dni, nie będziemy już tak pracować jak dotychczas, we czterech, bo Andrzej odjeżdża do Polski. I żal dziwny szarpie za serce, bo znów coś się kończy, coś przemija, odchodzi...

I nostalgiczna jakaś dziwna tęsknota dokucza coraz bardziej, jak reumatyzm przed burzą. Może uczucie to potęguje jeszcze zapach jesieni i szelest opadających liści? Może Hudson niepokojąco szumiący przyplwem, falą pędzoną wiatrem, który w naszej zatoczce szarpie coraz bardziej rudziejącymi szuwarami i trzcina?

Siedzę więc tak podczas lunchu i myślę o domu, o najbliższych. Tutaj dopiero odczuwam i w pełni doceniam jak ważny w życiu jest dom, jak niezastąpiona niczym innym rodzina, obecność najbliższych...

Pobudzone przyplwem ptaki wrzeszczą i kłóćą się między sobą. Przez szum fali i ptasi wrzask przebija się huk samolotu. Bierze kierunek nad ocean. Do Polski może leci? Iluś tam „wakacjuszy” leci do swoich. Tutaj się żegnali, na Okęciu witać radośnie ich będą. Mój Boże!, całe życie nasze to ciągłe pożegnania i powitania. Odloty i powroty. Na miejsce odjeżdżających codziennie z Polski przybywają nowi „turyści”, pełni olbrzymiej nadziei i pięknych marzeń, radości wielkiej, że oto dostąpili wspaniałego zaszczytu wyróżnienia. Bo przecież wielu, stojąc w Warszawie pod amerykańską ambasadą, dało by wiele, by tylko tu być. A po kilku dniach, tygodniach pobytu tutaj radosne ich zachwycenie zaczyna tracić swój blask, często i gęsto leje się na głowę zimny prysznic rzeczywistości. Bo ani tu bliskich nie mają, ani języka nie znają, świat obcy ich otacza i trudno w nim miejsce znaleźć dla siebie. Do wszystkiego jednak trzeba przywyknąć. Ci, co tego nie potrafią, często i szybko schodzą z właściwej ścieżki...

Siedzę tak, podczas lunchu na wysokim brzegu Hudsonu, patrząc na oddalony o szerokość rzeki Manhattan, gdzie szczyty bogactwa stykają się z dołami ludzkiej egzystencji. W zasięgu mego wzroku leży Upper East Side i Harlem. Dwie manhattańskie dzielnice. Upper East Side – piękna i bogata, położona między Central Park a East River, gdzie jeden apartament zajmuje całe piętro wieżowca, gdzie uprzejmi i wszystkowiedzący, stanowczy portierzy w liberiach nie dopuszczają obcych do wnętrza gmachu. To stąd wybiegają na swój

poranny spacer piękne panie i panienki w kolorowych rajtuzach, które rano i wieczorem, jadąc do pracy i z pracy, mijamy na promenadzie. I niedaleko od tej pięknej i bogatej dzielnicy, gdzieś od 103 Ulicy rozłożony Harlem, gdzie nawet biali policjanci starają się nie zapuszczać. W środku Harlemu stoją na wpół zamieszkałe, zdewastowane, często wypalone bloki. Na niektórych domach dostrzec jeszcze można ślady ich dawnej świetności: płaskorzeźby nad oknami, ogródki z resztkami drzew i pięknych krzewów, bo przecież niegdyś była to elegancka dzielnica rezydencji mieszczańskiej, nowojorskiej elity. Dziś Harlem jest zniszczony i przeludniony, ponury, pachnie zbrodnią i gwałtem. Szybko też można stracić portfel lub dostać nożem. Jest to dzielnica całkowicie opanowana przez Murzynów. Są to, bez przesady, wspaniali ludzie. Ci, z którymi się zetknąłem, byli zawsze mili, serdeczni, życzliwi. Mają jednocześnie w sobie chęć swobodnego i dowolnego poruszania się w czasie i przestrzeni...

7 XI 1986 (piątek)

Sem, zadowolony niezmiernie z tego, że mu się „stawało”, czyli z nabierającej właściwego kształtu willi, namówiony został przez Mariana, aby z tego powodu i na pożegnanie Andrzeja zaprosił nas na uroczystą kolację. W tym celu zabraliśmy ze sobą odświętne ubrania, w które przebraliśmy się po zakończeniu pracy. By było bardziej uroczyście poprosiliśmy Anitę, żonę Sema, by zechciała nam towarzyszyć. Wybraliśmy lokal wyłącznie z daniami rybnymi, wszak to był piątek i dla nas, chrześcijan, dzień postny. Anita zaproponowała London Square East, przytulną restauracyjkę na Manhattanie. Z karty naliczyliśmy pięćdziesiąt osiem dań, głównie z ryb morskich (z rzecznych też), oraz chyba z wszystkiego, co pływa i żyje w wodzie. Wszystkie dania z karty aktualnie były dostępne do konsumpcji, do tego trzynaście różnych

napojów i siedem gatunków wina. Kosztowaliśmy kilku dań, jedno pyszniejsze od drugiego. Sem przyniósł z sobą galon wódki, ponalewał w szklaneczki z lodem. Daniem szczególnym zaś były małże, podane na oryginalnych skorupkach, odpowiednio przyprawione. Przysmak Anity. Marian, Wiesiek i Andrzej nie odważyli się ich skosztować. Mnie bardzo smakowały, więc delektowałem się nimi razem z Anitą.

9 XI 1986 (niedziela)

Polacy, mieszkający w Nowym Jorku uczcili uroczystie kolejną rocznicę odzyskania niepodległości naszej Ojczyzny. Komitet Organizacyjny Obchodów Święta Niepodległości Polski był organizatorem nabożeństwa w kościele Świętego Stanisława Kostki przy Humboldt Street, w którym uczestniczyły poczty sztandarowe organizacji i stowarzyszeń polonijnych oraz licznie przybyli Polacy. Po nabożeństwie nastąpił przemarsz na akademię do Domu Narodowego przy Driggs Avenue, w której udział wzięło również duchowieństwo, chór Świętej Cecylii, Polsko-Amerykańska Grupa Taneczna, harcerze, młodzież szkoły im. Marii Konopnickiej.

*

pożegnania

przyszła pora pożegnań
dalekich
nieuchronne są ptaków
odloty
tyle krzyku zapadło
w milczenie
tyle w nas już zapadło
jesieni

10 XI 1986 (poniedziałek)

Dom Sema budujemy już tylko we trzech: Marian, Wiesiek i ja. Andrzej odlatuje dzisiaj wieczorem, od rana robi z gospodynią Władzią zakupy. Po pracy zajeżdżam do nich i Andrzejowi daję do przekazania listy, drobne upominki dla Danusi, Ewuni i Adasia oraz pieniądze dla nich. Na pożegnanie dziękujemy sobie za wspólną pracę, życzę mu szczęśliwego lotu.

*

Bankiety, bale i zabawy zasiedzieli tutaj Polonusi urządzają często. Lubią je urządzać z różnych okazji. A to obchody jubileuszu, więc bankiet z zabawą taneczną, a to poświęcenie nowego ośrodka parafialnego, więc znów bankiet, a to bal weteranów, jesienna zabawa z kolacją szkoły dokształcającej, to znów tradycyjna gwiazdka, opłatek, „card party” czyli tzw. karcianka, organizowana przez którąś z parafii.

Jednym z reprezentacyjnych lokali polonijnych jest „Polonaise Terrace” na Brooklynie przy Greenpoint Avenue, gdzie urządzane są przyjęcia z okazji zaręczyn, wesel, chrzcin, rocznic, komunii, obiadów handlowych, inauguracyjnych, rodzinnych i towarzyskich. Do dyspozycji gości lokal oddaje luksusowe cztery sale bankietowe z klimatyzacją, mieszczące od 25 do 300 osób, w zależności od potrzeb.

*

Do naszej zatoczki przypląnął rano samotny łabędź. Wziął kawałek chleba i karmił się bez pośpiechu. Pozostałe ptactwo: gęsi, kaczki, mewy, otoczyło go półkolem w pewnej odległości. Syty, popływał po zatoczce i odpłynął w górę rzeki. Wielkie panisko wśród ptasiego gatunku.

*

Od czasu wyjazdu Andrzeja do Polski, Marian i Wiesiek coraz częściej myślą o swym powrocie. Widzę po ich minach, po ich zachowaniu, że popędziliby do Polski jedną chwilą. Nie dziwię się im, jestem tu dużo krócej, a coraz częściej spoglądam na odlatujące samoloty, coraz częściej śnię mi się moi najbliżsi, dom, przyjaciele, muzeum, Ostrołęka i Narew. Tęsknota jak rdza, żżera tu każdego niemiłosiernie. I nie ma na to żadnego lekarstwa. Włóczę się po tym Nowym Jorku jak zabląkana dusza; to miasto jakby nie miało początku i końca. Tak bardzo chciałbym pochodzić po nadnarwiańskich błoniach, położyć się na kurpiowskim wrzosowisku albo na leśnym jagodziniaku, wśród paproci, pod olbrzymią sosną w durlaskim boru – jak niegdyś – i poprzez zieleń gałęzi popatrzeć na kurpiowskie niebo, nawąchać się, nawdychać w siebie zapachu mojej ziemi. Coraz częściej i coraz tęskniej patrzę więc razem z Marianem i Wieśkiem na odlatujące samoloty...

zostanie tylko ciężar serca
i trud zastygły we wspomnieniach
gdzieś nad Hudsonem w mgłach ukryta
moja tęsknota już spełniona...

w powietrzu biała smuga cienia
co się rozwieje jak obłoki
i na Greenpoincie zapomniane
czas pozawiewa moje kroki...

*

Władzia, siostra Edka, mojego przyjaciela i współlokatora, nasza gospodyni i szefowa „apartamentu”, opowiada, że razem z nią, już kilka ładnych lat temu, przyjechała Stefka z ich rodzin-

nych stron. W Polsce, jak zwykle w takich przypadkach bywa, został mąż i dzieci. Stefa szybko dostała tu nowych romantycznych skrzydeł i się zakochała, urodziła dziecko. Przerazona tym, co się stało, spowodowała śmierć noworodka. Siedzi już trzy lata w nowojorskim więzieniu. A obiekt jej miłości rozkochał w sobie już drugą „wakacjuszkę”, która podobno niedługo też będzie rodzić...

Edek, by podtrzymać w nas ten romantyczno-tragiczny nastrój, lecz złagodzić smutne współczucie dla Stefy, opowiada jak to w kolejną rocznicę ślubu dziadek, chcąc zaimponować babci swą witalną siłą, niesie ją do sypialni na górę, rozneglizowaną, owiniętą w prześcieradło, które trzyma w zębach (w domyśle – protezach).

– Józus! Ale sobie damy! – w głosie babci podniecenie i nadzieja ...

– Oj damy! – potwierdza dziadek i... prześcieradło z babcią wypada mu z zębów.

Babcia łamie nogę...

*

Amerykanie (ci prawdziwi) zawsze są na luzie, nigdy nigdzie się nie śpieszą. Bo i po co? Wszystko na nich czeka, wszystko mają na wyciągnięcie ręki. Są syci, zrelaksowani, odprężeni, pewni siebie, nie muszą pędzić od jednego pustego sklepu do drugiego, z kolejki do kolejki. Są na wszystko dobrotliwie obojętni – nic ich nie zadziwia, nie oburza, nie gorszy: ani włóczędzy, ani wariaci, ani demonstranci o jeszcze jedną jakąś tam gdzieś słuszną sprawę, ani przeróżni kwestarze zbierający ofiary na swe święte wojny gdzieś w dalekich krajach...

*

Mijają jesienne dni, gasną rozplamione drzewa, szarzeją. Wysoko w błękitnie ptaki próbują swych sił. Hudson pociemniał, posmutniał. Tylko gęsi i kaczki syte, spokojne, leniwie wygrzewają się w słońcu.

25 XI 1986 (wtorek)

Wiesiek urwał się z pracy i pojechał do agencji ustalić ewentualny termin swego i Mariana odlotu do Polski. Marian chodzi dziwnie zamyślony i zdenerwowany. Koniec pracy, jedziemy do domu. Wiesiek informuje, że LOT-em do lutego w roku przyszłym nie ma możliwości lotu, znalazł linie jugosłowiańskie, a w nich miejsca tylko na ten czwartek. Czyli pojutrze!

W nocy nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok. Słyszę jak śpiący w sąsiednim pokoiku Emil majaczy przez sen: boleśnie wzdycha, przywołuje kogoś na pomoc, skarży się komuś łamiącym się głosem... Co mogę mu pomóc? Nie budzę go, niech się wyżali, może lżej będzie mu tu żyć?... Co mogę zrobić, żeby nie myśleć o swych najbliższych? Jak ułoży się tu mój dalszy pobyt? W końcu zasypiam snem niespokojnym...

26 XI 1986 (środa)

Ostatni dzień pracy na budowie domu u Sema. Pracujemy tylko z Marianem. Jutro amerykańskie święto – Dzień Dziękczynienia, więc Sem wypłacił nam i za dzień jutrzejszy. O godzinie 13.40 opuszczamy teren budowy po raz ostatni.

Ta budowa to był kawał naszej dobrej roboty! I nie tylko roboty. Budując ten dom ileż nakreśliliśmy tu naszych życiowych planów, ile nanieśliśmy do tych planów poprawek i zmian (jak w polskim sejmie do ustaw), ile wysnuliśmy tu naszych marzeń, ile myśli, wspomnień i rozmów, ile zamierzeń? Ile dni naszego życia ułożyliśmy między cegłami tej budowli?

Codziennie patrzyliśmy na odlatujące samoloty i tęskniliśmy do własnych odlotów, obserwowaliśmy zachody słońca gdzieś hen za Manhattanem, za Nowym Jorkiem i przeżywaliśmy urokliwe chwile, gdy nad Hudsonem wznosił się księżyc i obficie sypał

romantyczną poświatę, zamieniając świat codziennego trudu w urokliwy czas...

To kilka miesięcy naszego trudnego, pięknego życia!

27 XI 1986 (czwartek)

Piękny, ciepły, słoneczny dzień. Rano pakuję walizkę i przeprowadzam się z Bedford Avenue nr 117, do mieszkania gdzie mieszkał Marian na Eagle Street 183, 4L na drugim piętrze. Z Emilem, który mieszka w tym domu co ja dotychczas, idziemy do Mariana, pomagam mu robić zakupy i pakować się do wyjazdu. Przekazuje przez niego kolejne upominki dla swych najbliższych i pieniądze. Z Ryśkiem odwozimy Mariana i Wieśka na lotnisko, odlatują z półgodzinnym opóźnieniem około godziny 21. Potem przewozimy moje manele do nowego mojego mieszkania. W starym mieszkaniu spędzam ostatnią noc.

W piątek z Ryśkiem i Zygmuntem przewozimy resztę moich rzeczy.

Jestem bez pracy.

Z Edziem, bratem gospodyni Władzi, z którym teraz będę mieszkał, pakujemy resztę Mariana przedmiotów i wysyłamy paczkę na jego adres, tak jak nas o to prosił.

30 XI 1986 (niedziela)

Dzień słoneczny i ciepły. Na Mszy świętej w kościele przy Eagle Street – ulicy, przy której teraz mieszkam, kilkadziesiąt metrów dalej, potem przegląd prasy polonijnej. Przyszedł Emil z kolegą, który będzie z nim mieszkał, na miejsce moje czy Zygmunta, bo Zygmunt też przeniósł się do innego mieszkania. Oddałem mu klucze. Wspólnie z nimi i Edziem wznieśliśmy toast za pomyślną przyszłość.

3 XII 1986 (środa)

Dziś otrzymałem pracę w niewielkim zakładzie, pod adresem: 255 Freeman Street, w którym wyrabiane są szczęki hamulcowe, bardzo blisko mojego nowego miejsca zamieszkania (5 minut drogi).

4 XII 1986 (czwartek)

W nowym zakładzie pracy. Pracujemy od godziny 8 do 16.30. Są dwie przerwy po 10 minut, o 9.50 i 14.50 i przerwa obiadowa od godz. 12.30 do 13. Atmosfera w pracy bardzo miła, wszyscy są sobie życzliwi i przyjaźni. Pierwsze wrażenie bardzo dobre. Praca lekka, nie męcząca zbyt, pod dachem, ciepło, a to ważne, bo przecież zima idzie. Cały problem w tym, że i zapłata lekka: niskie stawki i brak nadgodzin.

6 XII 1986 (sobota)

Kolejna radość serca. Otrzymałem z domu list, pisany z datą 26 listopada. Danusia pisze, że wszyscy zdrowi, dają sobie radę, tylko bardzo im tęskno i dziękują z radością za wszystko, Ewunia i Adaś szaleją ze szczęścia, ciesząc się z otrzymanych prezentów. I mnie ogarnia wielkie uczucie radości, że mogłem im te chwile szczęścia sprawić. Właśnie to daje ogromną siłę przetrwania. Ale za chwilę zadzwonił Rysiek, że udało mu się przed chwilą dodzwonić do domu i dowiedział się, że wczoraj czy przedwczoraj Ewunia znalazła się w szpitalu, miała operację na wyrostek. Niby zagrożenia dla jej życia nie było i już jest po wszystkim, ale wiadomość ta boleśnie mną wstrząsnęła i łzy pociekły z oczu. Staram się telefonicznie połączyć z domem, ale to tak, jak szóstkę trafić w totalotka. Czasem się udaje. I udało się! Przy Bożej pomocy, bo o nią prosiłem, o godzinie 20.50

słyszę w słuchawce głos Adasia, potem Danusi, Ewunia jeszcze w szpitalu, w poniedziałek wraca do domu. W zeszły poniedziałek wieczorem zaczęła mieć gorączkę i wymiotowała, we wtorek była u lekarza – naszej wspianej koleżanki Heli Sierzputowskiej, która skierowała ją do szpitala i we wtorek była już operowana. Ta około godzinna rozmowa przyniosła uspokojenie i ogólną radość.

Dziś wieczorem Zygmunt, z którym dotychczas razem mieszkaliśmy, przeprowadza się do nas i znów będziemy mieszkać we wspólnym mieszkaniu.

Piszę listy do Polski, już z opłatkiem i świątecznymi życzeniami. Małżeństwo z Ostrołęki wraca do domu, Zygmunt ich zna i zanieś im te listy (jak zawsze, z dolarem), a oni je w Ostrołęce doręczą.

12 XII 1986 (piątek)

Pierwszy czek z nowej pracy. Idę z nim do banku, by wpłacić pieniądze. Rysiek ma rozwalony samochód, do tego musi pracować, więc do Janków do Pensylwanii nie pojedziemy. Wieczorem zadzwonił Janek, zmartwiony tymi wszystkimi zmianami, jakie w ostatnim czasie przechodziłem. Stwierdził, że gdyby Rysiek na święta nie miał samochodu, to on po nas przyjedzie. Kochany Jaśko! Dziękuję mu z całego serca.

15 XII 1986 (poniedziałek)

Przez cały dzisiejszy czas pracy we troje pakujemy szczęki hamulcowe do pudełek, a pudełka do palet.

O godzinie 19 w naszym kościele przy Eagle Street (uliczce, przy której również mieszkam) rozpoczynają się trzydniowe rekolekcje. Po Mszy świętej i kazaniu rozpoczyna się spowiedź, do której też przystępuję.

Po powrocie do naszego mieszkania Edek mówi, że jest odzew od jego kolegów, których prosił o pracę dla mnie (gdy jej poszukiwałem). Jest wolne miejsce pracy przy piórach w żydowskim zakładzie. Stawka godzinowa wyższa, praca po 12 godzin, w piątek do godziny 13.

Decyduję się na te pióra. Co Bóg da. W nocy się budzę gdzieś około godziny 4. Co będzie? Jak będzie. Potem znów zasypiam.

16 XII 1986 (wtorek)

Maszeruję do tej nowej pracy na Kent Avenue 337, naprzeciw cukrowni „Domino”. Dobrego marszu około pół godziny. Praca polega na odzysku puchu. Przywożone są puchowe kołdry, poduszki, pikowane puchem kurtki, przekazane do punktów skupu z różnych powodów, tu rozpruwane i pozyskany z nich puch czyszczony jest w odpowiednich maszynach, pakowany w duże wory, a te w palety i wywożony. Ponieważ w powietrzu krążą puchowe drobinki, pracujemy w maseczkach higienicznych. O godzinie 11 jest pół godziny na lunch i o godzinie 15 – kwadrans.

24 XII 1986 (środa)

Wigilia. Jedziemy z Ryśkiem do Marysi i Janka do Pensylwanii. Stół wigilijny już czeka. Marysia wigilię przygotowuje po polsku: choinka z pensylwańskich lasów (gdzie Jaśko z Danielem jeżdżą na polowania) pięknie przystrojona, stół zasłany białym obrusem, zastawiony wigilijnymi potrawami, przygotowanymi przez Panią Domu, Iwonka i Bernadetka ślicznie ubrane, Daniel i gospodarze domu odświętni, opłatek z ich kościoła parafialnego razem z tym przysłanym z Polski, uściski i życzenia, łzy w oku, ścisk serca i... *Bóg się rodzi, Wśród nocnej ciszy*. A o północy pasterka, piękna szopka przy bocznym ołtarzu, fi-

gurka Dzieciątka ułożona na sianku, polskie kolędy, śpiewane pięknie przez chór i wiernych na przemian z angielskimi...

27 XII 1986 (sobota)

Dziś w biurze LOT-u zrobiłem rezerwację na powrót do Polski 8 maja 1987 roku. W Nowym Jorku pozostanę do końca kwietnia, potem tydzień wczasów u brata Janka i... odlot! Za pomyślne spełnienie, z Edziem i Zygmysiem – po jednym!

31 XII 1986 (środa)

Noc Sylwestrowa. Zadzwoił Jaśko z życzeniami. Cały wieczór staram się połączyć telefonicznie ze swymi najbliższymi. Łączy na co dzień są ciągle zajęte, a w taką noc, jak dzisiejsza, chyba łatwiej by było ściągnąć gwiazdkę z nieba niż połączyć się z Polską. Edek z siostrą Władzią, naszą gosposią, byli umówieni ze swymi znajomymi, wielokrotnie zachęcali, bym się do nich dołączył. Podziękowałem, mając nadzieję na połączenie z najbliższymi. Ale nie wyszło. Zygmunt też gdzieś wychodził, lecz wrócił przed północą, więc obaj po kielonku i... Szczęśliwego Nowego Roku! Smutno i źle!

List do Danusi

podaj mi spokój naszego domu
radość uspioną w łóžeczkach dzieci
uśmiech swój podaj
znad Ostrołęki skrawek błękitu
z Narwi łzę jedną i błysk promienia
gwiazdy co zawsze błyszczy
w Twych oczach

i ciepło dłoni swej
podaj –
snem niechaj dotknie mojej
powieki
bym w nim spokojnie
mógł powędrować
do Was – Kochani
do mego Miasta
i mojej Rzeki.

*

Polacy, którzy żyją w Stanach, w przeważającej większości tęsknią za krajem. Wielu z nich, którzy po wojnie tam się znaleźli, z wiadomych przyczyn nie mogło powrócić do kraju. Wielu też, przyjeżdżających tutaj zarobkowo, było przekonanych o powrocie do Polski. Żyli w pogoni za zdobywaniem środków na realizację swych planów i zamierzeń. I nie spostrzegli nawet, jak zaczęli wrastać w tutejszy pejzaż, w coraz mniej obcą im glebę. Życie stało się wygodne, ustabilizowane, powrót do Ojczyzny przesuwiał się coraz dalej, stawał się nieokreślony, aż oddalił się w mglistą przestrzeń. A życie niespostrzeżenie wchodziło już w jesień. I tylko od czasu do czasu wyciągnięta z albumu stara fotografia ożywi ich wspomnienia i wzruszy głęboko, mocniej roznieci coraz mniej pulsującą tęsknotę, gdzieś głęboko w środku ukrytą... Albo list z Polski z białą okruszyną opłatka wyciśnie z oczu łzę serdeczną...

*

(z listu do Żony)

O uśmiech serdeczny cię proszę
o słów kilka jak szepty wiosenne
z Narwi o kroplę błękitu
dla szarego Hudsonu w podzięce.



ISBN 978-83-64200-44-1